AS



Nr. 9.
1-go MARCA 1936 R.
CENA 40 GROSZY.

Jego ideał...

NASZ ★ NOWY ★ KONKURS

na najestetyczniejszy wygląd sportsmenki.



P. Aniela Wodzińska z upolowanym przez siebie dzikiem — Kukowo p. Skępe.



P. inż. Marja Voelplowa na przeszkodzie — Lublin.

W dalszym ciągu naszego „Konkursu na najestetyczniejszy wygląd sportsmenki" zamieszczamy obok szereg zdjęć, przedstawiających urocze kandydatki do zaszczytnego tytułu w danej gałęzi sportu, i pretendujących do zdobycia jednej z pięciu pięknych nagród, wyznaczonych dla laureatek przez redakcję Magazynu „As".

Jak wynika z licznie do nas napływających kuponów, Konkurs ten zaczyna się cieszyć coraz większem zainteresowaniem Czytelników „Asa", z których wielu podkreśla słuszne zaakcentowanie przez nas estetyki w sporcie kobiecym, tak bardzo nieraz zaniedbanej nawet przez najpiękniejsze zawodniczki.

Kończący się sezon narciarski przyniesie nam niewątpliwie niejedną jeszcze piękną fotografję amatorki jazdy na nartach, a z nastaniem cieplejszej pory roku do teczki Konkursu napłyną liczniej jeszcze zdjęcia z kortów tenisowych i rajdów konnych.

Kupon do głosowania znajdą Czytelnicy na str. 30.



P. Gerda Nowicka — Szamotuły.



Na lewo: Znana artystka scen warszawskich p. Kazimiera Skalska, wybrana jednogłośnie na „Balu Mody" najpiękniejszą panią Zakopanego na rok 1936.



„Hetti" — Poznań.

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY

WYDAWCA: SPÓŁKA WYDAWNICZA „KURYER" S. A
REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY: JAN STANKIEWICZ.
KIEROWNIK LITERACKI: JULJUSZ LEO.
KIEROWNIK GRAFICZNY: JANUSZ MARJA BRZESKI.
ADRES REDAKCJI i ADMINISTRACJI: KRAKÓW, WIELOPOLE 1 (PAŁAC PRASY) - TEL. 150-60, 150-61, 150-62, 150-63, 150-64, 150-65, 150-66
KONTO P. K. O. KRAKÓW NR. 400.200.

AS

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY

CENA NUMERU GROSZY 40
PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR.

CENY OGŁOSZEŃ: Wysokość kolumny 275 mm. — Szerokość kolumny 200 mm. — Strona dzieli się na 3 łamy, szerokość łamu 63 mm. Cała strona zł. 600 Pół strony zł. 300. 1 m. w 1 łamie 90 gr. Za ogłoszenie kolorowe doliczamy dodatkowo 50% za każdy kolor. prócz zasadniczego. Żadnych zastrzeżeń co do miejsca zamieszczenia ogłoszenia nie przyjmujemy

Numer 9 **Niedziela 1 marca 1936** **Rok II**

ASY NUMERU 9-GO:

ESTETYKA NOWOCZESNEGO WNĘTRZA.
Problemy meblarskie na wystawie „Ładu" w Ipsie.
str. 4—5.

▼

WYSPA CZARNYCH KOBIET.
Reportaż z krainy egzotycznych amazonek.
str. 6.

▼

REMBRANDT CZY 100 HP.?
Co wywarło większy wpływ na rozwój dziejów ludzkości: sztuka, czy technika?
str. 8—9.

▼

PEJZAŻ
w amatorskiej fotografji Czytelników „Asa".
str. 10.

▼

Z GHETTA NA KARTY HISTORJI.
Od krakowskiego Niemiry do lorda Reading.
str. 14—15.

▼

PARADA LALEK.
Jak zabawka dziecinna staje się dziełem sztuki.
str. 16—17.

▼

Nasz przebój muzyczny!
NA BALU.
Walc prof. St. Rączki.
str. 18.

▼

PO LODZIE — Z WIATREM W ZAWODY.
Reportaż sportowca, który ustanowił rekord w jeździe jachtem lodowym na jeziorze Narocz.
str. 19—20.

▼

SPORTING FLIRT.
Niedyskrecje z życia gwiazd zimowej olimpjady w Garmisch-Partenkirchen.
str. 28—29.

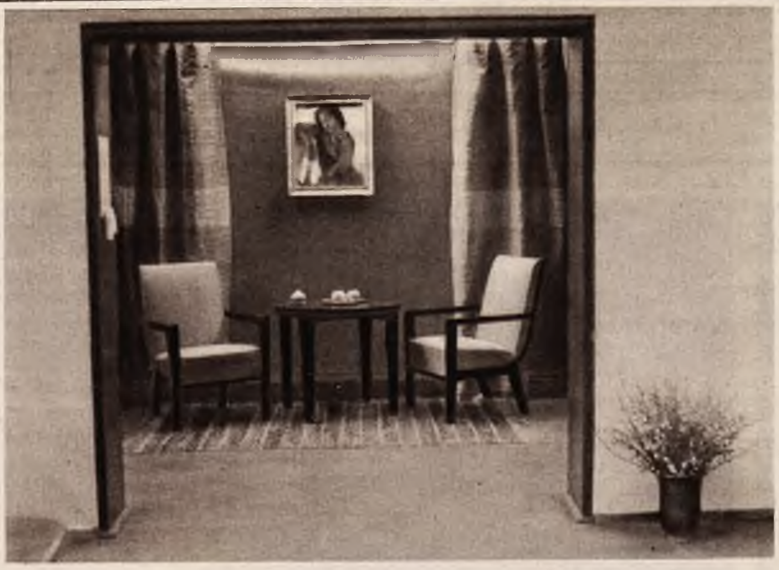
▼

Powieść. — Nowela. — Koronki siatkowe (filet). — Dział gospodarstwa domowego. — Życie towarzyskie i artystyczne. — Konkurs na najestetyczniejszy wygląd sportsmenki. — Humor. — Na scenie. — Nowe książki. — Program radjowy.



Szwajcarja, wymarzony kraj dla sportów zimowych, ożywia się w zimie licznymi przybyszami z całego świata. Również syn Pana Prezydenta R. P. Ignacego Mościckiego, p. Józef Mościcki, pierwszy sekretarz poselstwa naszego w Bernie należy wraz z małżonką do szczerych przyjaciół gór szwajcarskich. Na naszem zdjęciu widzimy pp. Mościckich (od prawej), w Adelboden w kraju Oberland podczas wycieczki górskiej wraz z p. Pozzy de Besta, b. sekretarzem Komisji Mieszanej na terenie Górnego Śląska.

ESTETYKA
NOWOCZESNEGO WNĘTRZA



FRAGMENT GABINETU *proj. Marji Bielskiej i Haliny Karpińskiej, kilim Krystyny Dydyńskiej, obraz „Dziewczynka" mal. Jan Golus. Obicia Zofji Czasznickiej.*

W wieku tempa i życia ułatwionego zbyt często zapominamy o swoich własnych potrzebach, zwłaszcza kiedy zamierzamy urządzić sobie mieszkanie.

Architekt bez naszego udziału indywidualnego daje nam mieszkaniową komórkę, a serjowe wytwórnie mebli dostarczają tanich sprzętów, będących — jakoby ostatnim krzykiem mody.

Krzyk ten przekształca się wkrótce w kakofonję, obrzydzającą nam przebywanie we własnym domu. Gnieździmy się we wnętrzu mieszkalnym, w którem niemal wszystko — za wyjątkiem nas — jest przypadkowe.

W warszawskim „Ipsie" urządzono nareszcie ze wszech miar pożyteczną wystawę, jedną z tych, które odbywać się powinny co roku, a niestety urządzane są w Polsce co 30 lat.

Równo przed 30 laty powstał pierwszy ośrodek artystyczny, mający na celu stworzenie polskiego sprzętarstwa. Było to w Krakowie w r. 1905. Wtedy powstały słynne „Warsztaty krakowskie" przy udziale profesorów akademji Józefa Czajkowskiego, Edwarda Trojanowskiego, Karola Tichego i in. Po urządzeniu udałej wystawy w Krakowie, urządzono w warszawskiem Towarzystwie „Zachęty" w r. 1906 wystawę wnętrz, pochodzących z wytwórni „Krakowskich warsztatów". Dzisiejsze pokolenie artystów wychowankowie tejże samej krakowskiej Akademji, urządzają po 30 latach drugą wystawę sprzętarstwa polskiego, zorganizowaną już przez „Ład", obchodzący 10-lecie swego istnienia. Założyciel „Ładu", profesor Akademji Wojciech Jastrzębowski powiada, „że „Ład" dąży do doskonałości formy, surowca i wykonania przedmiotów przez siebie wytwarzanych, a przez to do podniesienia ogólnej kultury plastycznej w kraju i jest jedynym, zawsze żywotnym motorem działania. „Ład" jest stowarzyszeniem artystów i rzemieślników i dąży do wytworzenia atmosfery, poczucia własnych wartości i głębokiego przeświadczenia, że godną kulturalnego, współczesnego człowieka jest tylko ta forma plastyczna, która wyrosła z istotnych warunków życia narodu, a powstaje z tych elementów surowca, techniki, wiedzy fachowej i talentów, na które czasy obecne się składają".

W Radzie „Ładu" do dzisiejszego dnia czuwają żyjący założyciele „krakowskich warsztatów", jak prof. J. Czajkowski i K. Tichy. „Ład" wytwarza meble, dostosowane do indywidualnych potrzeb zamawiającego, harmonizujące z jego kulturą, zawodem i smakiem. Dopiero po uzgodnieniu potrzeb zamawiającego, architekt projektuje wnętrze, podobnie jak krawiec ubranie. Skrajnym przykładem dostosowania się do potrzeb klienta są znajdujące się na wystawie modele Jana Golińskiego przedstawiające „wnętrze jednokierunkowo-skupiające": pracownię matematyka i „wnętrze rozpraszające" — pracownię poety, pomyślane jako pawilony, lub odrębne skrzydła budynku.

Działalnością swą artystyczną, „Ład" dąży do pogłębienia kultury mieszkaniowej w Polsce. Projektodawcy unikają zasadniczo wszelkiego historyzmu i oparcia się o tradycje, a w kompozycjach uwzględniają jedynie materjał, funkcjonalność i wiązanie harmonizujące z charakterem drzewa i troską, aby nie zatracić urody i szlachetności tworzywa.

Też same zasady utylitaryzmu, wygody i higjeny obowiązują wszystkich nowoczesnych architektów, gorączkowo pracujących nad konstrukcją nowoczesnego wnętrza. Dyktatura architektów modelujących przestrzeń wnętrza wkracza i w dziedzinę nowoczesnego sprzętarstwa, które wskutek przestrzegania wymienionych norm upodabnia się i kosmopolityzuje na całym świecie.

Wytwórnia „Ładu" i tym podobne placówki, które powinny powstać we wszystkich środowiskach artystycznych Polski, mają za cel uodpornienie naszej twórczości dynamiką własnych sił, przeciwko grożącemu zalewowi nowalijek zagranicznych i serjowej, taniej produkcji, będącej w ręku bezkrytycznych, a goniących jedynie za zyskiem handlarzy mebli. W walce o polskie sprzętarstwo zajął „Ład" obecnie przodownicze stanowisko. Należałoby znaleźć środki i sposoby organizacyjne do rozszerzenia i skomercjalizowania jego wytwórczości.

Wystawa „Ładu" wskazuje, iż współczesne pokolenia naszych meblarzy zdobyło już swój własny wyraz plastyczny. Na czele tych pożytecznych twórców kroczy Jan Kurzątkowski, komponujący wstrzemięźliwie i od podstaw, oryginalne konstrukcje sprzętarskie. Prof. Roman Schneider niezwykle płodny i wnikliwy artysta, przestrzega w swej pracy surowo logiki wiązania drzewa i chełpi się słusznie wynalazkiem palenia, czy trawienia sosnowego drzewa, w sposób



GABINET *proj. Czesław Knothe, wyk. wytwórnia Czesława Stechnińskiego i A. T. Bundych w Warszawie.*



JADALNIA *proj. arch. Romana Schneidra, wyk. zakład stolarski W. Gajewski.*

podkreślający urodę rysunku słojów, tak popularnej u nas sosny. Prof. Schneider wystawił fragment salonu, fragment gabinetu, jadalnię i pokój mieszkalny i osiąga w pełni szlachetne rezultaty tam, gdzie działa prostotą formy. Marjan Sigmund posługuje się finezyjną linją dla celów reprezentacyjnych i podobnie jak Jan Kaiser i Czesław Knothe powraca niejednokrotnie do stylów epok minionych. Bardzo wytwornie skomponowała swój fragment gabinetu Marja Bielska i Halina Karpińska. Komplet salonowy Jana Kaisera posiada wysokie techniczne walory, lecz nadano drzewu wiązania właściwe metalowym formom. Jakkolwiek należy podziwiać wysiłek „Ładu", to jednak stwierdzić musimy, iż poziom artystyczny najwyższy osiągnęła ta wytwórnia w dziale tekstylnym. Kilimy, dywany i makaty „Ładu" rywalizować mogą z najlepszemi okazami światowej produkcji. Dział ten z nadzwyczajnem umiłowaniem, talentem i wysoką kulturą artystyczną prowadzą Zofja Czasznicka, Krystyna Dydyńska, Jadwiga Jagielnicka, Eleonora Plutyńska, Halina Karpińska, Zofja Baudouin de Courtenay, Wanda Szczepanowska, Katarzyna Nowakówna, Julja Grodecka, Anna Śledziecka, Zofja Kodis-Freyerowa, Marja Obrębska, Marjan Jurgielewicz i zasłużony kierownik tkalni „Ładu" Z. Kintop. Również na wysokim poziomie postawiony jest dział ceramiczny.

Niewątpliwie w dalszym etapie rozwojowym „Ład" udostępni swe wytwory szerszemu ogółowi, tęskniącemu do piękna, mimo smutnej gospodarczo epoki.

Z eksperymentalnej komórki „Ład" powinien conajprędzej przeobrazić się w potężną organizację, zajmującą się również ukształtowaniem przestrzennem nowopowstających wnętrz gmachów publicznych i rozrywkowych lokali, jak kin itp., urządzanych dotychczas bez udziału artysty. Piękny choć skromny jest dorobek „Ładu". Sądzimy, że na następny pokaz nie będziemy już czekać 30 lat. Tempo! Tempo! Tempo!

Marjan Dienstl-Dąbrowa.



POKÓJ MIESZKALNY sosna palona, proj. arch. Romana Schneidra, obicia Z. Czasznickiej, tkanina Eleonory Plutyńskiej, obraz Mery Litauer-Schneidrowej



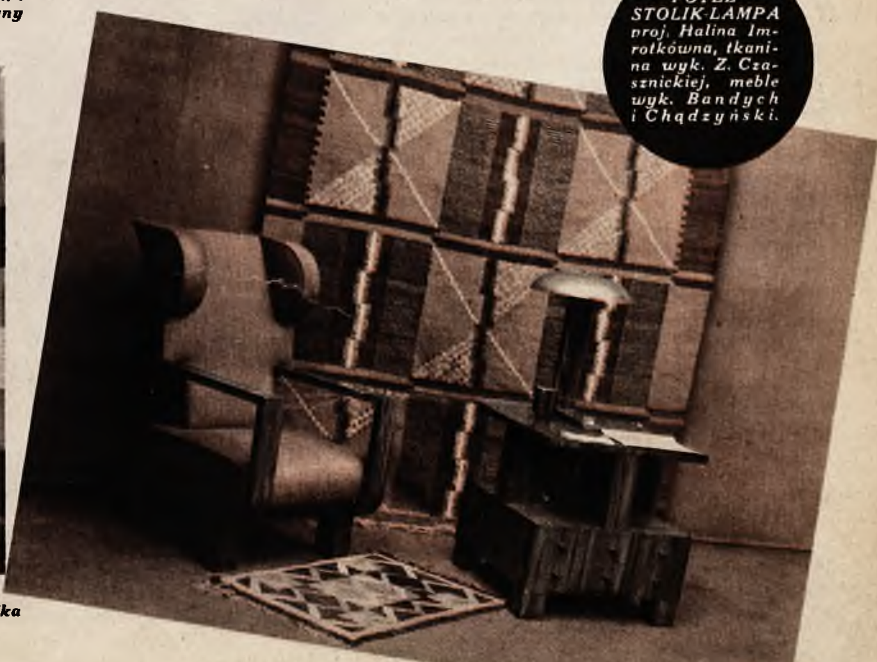
SALON proj. Marjan Sigmund, meble wyk. Drążkiewicz w Warszawie, dywan proj. Marji Sigmundowej, lampy M. Grünwald, ceramika R. Krzywiec.



KĄCIK WYPOCZYNKOWY proj. arch. Roman Schneider, tkanina na szafce proj. Marji Sigmundowej, makata jedwabna „Joty" proj. Krystyny Dydyńskiej.



POKÓJ STOŁOWY, orzech natur., proj. arch. Roman Schneider, ceramika Rudolf Krzgwiec, obrazy Mery Litauer-Schneidrowej.



FOTEL STOLIK-LAMPA proj. Halina Imrotkówna, tkanina wyk. Z. Czasznickiej, meble wyk. Bandych i Chądzyński.



Na lewo: Na wyspie Orango kobiety gromadzą się przed chatą i śpiewają przy wtórze bębna.

WYSPA CZARNYCH KOBIET

Wśród licznych wysp, rozsianych wzdłuż wybrzeża Gwinei portugalskiej, najbardziej bezsprzecznie interesującą jest wyspa Orango Wielkie; a to z uwagi na niezwykłe obyczaje mieszkańców, sięgające pradawnych czasów, kiedy to światem rządziły kobiety — w dosłownem tego słowa znaczeniu — a więc czasów matrjachatu.

Niema chyba wyspy, a tem mniej kraju na którymś z kontynentów, gdzie kobiety i dziewczęta posiadałyby taką pełnię praw i przywilejów, jak właśnie na tej bardzo małej wysepce

Podczas, gdy na wszystkich innych wyspach sąsiednich i na kontynencie rządzą mężczyźni, jako „głowy" rodzin, dobierając sobie małżonki wedle gustu swego i uznania, to w Arango mężczyźni nie posiadają zgoła tych praw, tak naturalnych w oczach Europejczyka. W Orango mężczyźni muszą cierpliwie czekać, aż łaskawy wybór, którejś z nadobnyh zresztą dziewic, padnie na nich, a jeśli ktoś nie przypadnie żadnej do gustu, musi do końca życia trwać w bezwzględnym... celibacie!

„Tout à rebours" jak u nas! A nawet, jeśli któryś ze zdegradowanych „panów stworzenia" (o ironjo!) znajdzie łaskę w oczach jednej z dziewic. to mimo to los jego jest zawsze jeszcze „niepewny". Bo jeżeli zawiedzie oczekiwania, pokładane w nim, otrzymuje w krótkiej drodze od swej małżonki... dymisję, a „zawiedziona" próbuje szczęścia z kim innym.

Z drugiej strony mąż, który nie znalazł „szczęścia" w małżeństwie, nie ma podobnych praw ani sposobu rozwiązania nieszczęśliwego dla siebie małżeństwa. Jedyny ratunek, jaki mu pozostaje, to jeno... sabotaż. stosowany względem żony chłód i obojętność, co w konsekwencji czyni go „nieużytecznym" małżonkiem i dojrzałym do otrzymania dymisji.

Ale nawet i w takim wypadku mąż nie zawsze odzyskuje wolność, bo niezrozumiana żona może bezkarnie uprawiać „flirty" z innymi kawalerami, zatrzymując równocześnie męża dla... „gospodarczej wygody".

Karjera męża porzuconego przez żonę jest zapieczętowana i do końca życia musi już trwać w bezżennym stanie.

Podobny los czeka każdego, któryby ośmielił się nie reagować na awansy okazywane mu przez kobietę.

Jeżeli nie odpowiedziałby na apel miłosny zalotniczki, naraziłby się przez to poprostu na wzgardę wszystkich kobiet, które okazują tutaj dziwną i niezwykłą solidarność, a o ile nie chciałby... wyrzec się wogóle miłości, musi bezwzględnie opuścić Orango.

Mimo tych niebywałych przywilejów dziewczęta nie nadużywają wolności przed ślubem. Wiąże się to niezawodnie z wiarą rozpowszechnioną na wyspie, że utrata dziewictwa przed ślubem sprowadza śmierć. Ale zato z chwilą zamążpójścia kobiety w Orango biorą pełny odwet.

Na całej wyspie nie znajdzie się mężatka, która nie miałaby „przyjciela", a raczej kilku naraz. Mąż, któryby odważył się robić z tego powodu sceny zazdrości, pożałowałby tego niezwłocznie. Natyhmiast musiałby spakować manatki i opuścić dom swej żony. Ale biada natomiast mężowi, który odważyłby się zdradzić swą żonę!

To nieszczęsne położenie mężczyzn na Orango zawdzięcza swą genezę wygaśnięciu linji męskiej w dynastji pa-



Mieszkańcy Oranga wykonują swoje tańce w tradycyjnej nieco niesamowitej fryzurze.



Na prawo:
Targ w Orango jest jedynem miejscem, gdzie dokonywują się transakcje handlowe.

Poniżej: Dziewczęta w Orango nacierają swe ciało przed tańcem oliwą palmową.



nującej. Z chwilą wstąpienia na tron Orango królowej Pampa Kazimpa skończyła się wolność mężczyzn.

Królowa użyła swej władzy, aby stopniowo ograniczać i uszczuplać prawa mężczyzn na rzecz swych współsióstr. I chociaż królowa umarła przed 3-ma laty, a na tron wstąpił jej syn — to mimo to matjarchat utrzymał się w całej pełni.

Po śmierci męża cały majątek przypada wdowie, która rodzinie zmarłego daje jeno jakieś drobne legaty, a raczej pamiątki. Jeśli żona wpierw umiera, mąż nie dziedziczy, lecz jej dzieci. Co się tyczy domu zmarłej, to dostaje się on najstarszemu z dzieci, bez względu na to, czy to chłopiec, czy dziewczyna, a tłumaczy się to tem, że domy na Orango budują przeważnie kobiety. Urządzenie mieszkania, statki gospodarcze i zapasy żywności są własnością żony.

Jedyny wyjątek stanowią owoce palm, zbierane wyłącznie przez mężczyzn i te są ich bezsporną własnością.

Ten jedyny w swoim rodzaju ustrój społeczny nie wpływa w niczem na „politykę“ zewnętrzną Orango.

Należałoby przypuszczać, że wyspa rządzona przez kobiety, będzie krajem wybitnie pacyfistycznym, tymczasem rzecz się ma odwrotnie. Kobiety Oranga są równie wojowniczo usposobione, jak gdzieindziej mężczyźni. Wprawdzie nie idą same na bój, ale podżegają skutecznie swych mężów do wojny.

Podczas „wojny“, zamiast odgrywać efektowną rolę amazonek — strzegą ognisk domowych i sprawują rządy.

Główne siły bojowe Oranga obejmowały flotylę „pirogów“, którą jednak Portugalczycy... skonfiskowali!

Starzy mieszkańcy Wielkiego Oranga opłakują wciąż jeszcze stratę swych „okrętów wojennych“ i marzą o... odbudowie „floty“! Wszystkie atoli wysiłki i próby w tym kierunku natrafiają na stanowczy opór ze strony Portugalczyków, w których interesie jest podtrzymanie pokoju.

I dlatego nie należy spodziewać się, aby już w bliskiej przyszłości marzenia „wojenne“ Orangów miały się spełnić i aby „syci chwały i krwi wroga“, mogli złożyć łupy wojenne u stóp swych władczyń-bogdanek, otrzymując w podzięce za to ich łaski!



Kobiety na wyspie czerpią wodę ze źródeł w wielkie naczynia gliniane.

Tak więc po zbadaniu różnych nieznanych jeszcze nam bliżej krain możemy stwierdzić, że niema na świecie ustroju społecznego lub dziwactw, któreby nie posiadały faktycznego odpowiednika w życiu. Trzeba przypomnieć o oryginalnem państwie teokratycznem w Himalajach, które za swego zwierzchnika uważa żywego Buddę, wyszukiwanego wśród niemowląt. Na pierwszy rzut oka również i to państwo przypomina bajkę z tysiąca i jednej nocy, niemniej jednak jest „autentycznem“.

Tadeusz Biliński.

CIEKAWE DROBIAZGI

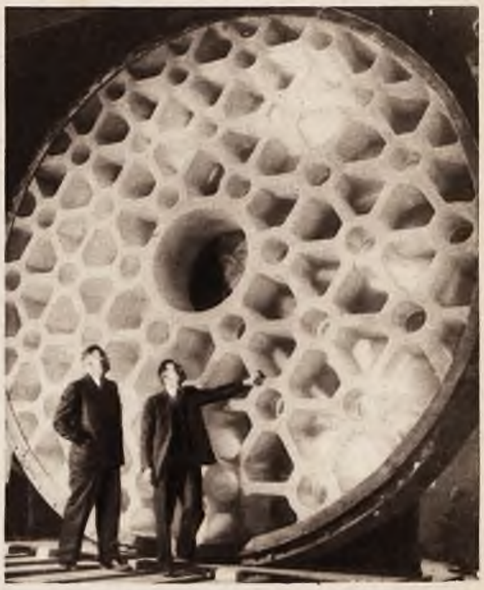
Z CUDOWNEJ KSIĘGI NATURY.



Nasze zdjęcie ujawnia, jak wielką jest siła przyciągania polerowanego szkła. Powierzchnie obu szkieł wypolerowano tak dokładnie, że stały się one nieomal idealnie gładkie, to też obie powierzchnie dzięki tej precyzyjności przyciągają się wzajemnie z wielką siłą. Jest rzeczą nader trudną i wymagającą wielkiej siły, aby jeden przedmiot, przylegający do drugiego swą gładką powierzchnią, oderwać od niego. — Zdjęcie nasze ujawnia fakt, że siła przyciągania jest większa od ciężaru osoby, zawieszonej przy jednym z przedmiotów. Przytoczony wypadek stanowi nadwyraz ciekawe zastosowanie wzajemnego przyciągania się molekuł.

inż. A.

NAJWIĘKSZA SOCZEWKA ŚWIATA.



Dokładność fabrykacji w technicznych fabrykach Stanów Zjednoczonych jest ogólnie znana. Mogą się one obecnie pochwalić nowem dziełem, nakazującem podziw dla precyzyjności roboty. Oto widoczna na naszem zdjęciu największa soczewka świata o przekroju 5 m i wadze 20 tonn została sporządzona w zakładach technicznych Corninga dla wyższej szkoły technicznej w Kalifornji. Jak widzimy soczewka przypomina plaster miodu.

REMBRANDT czy 100 H. P.?



W uwagach filozoficznych Oskara Wilde'a, znajduje się zdanie urągające zapatrywaniom całego świata: „Wszelka sztuka jest zbyteczna". W pierwszej chwili trudno pogodzić się z treścią tych słów, uzmysławiając sobie tysiącletnią przeszłość, począwszy od sztuki egipskiej, klasycyzmu greckiego aż po dzisiejsze czasy. Jestże to możliwe? „Wszelka sztuka jest zbyteczna?" Mają słowa te głębsze podłoże psychologiczne, czy stanowią one tylko płytki frazes? A może są rzucone naprzekór wszystkiemu, co uważane było dotychczas za dogmat? Na to może być tyle odpowiedzi pozytywnych co negatywnych.

A jednak... Weźmy pod uwagę słowa Wilde'a z czysto objektywnego punktu widzenia po zupełnem wyeliminowaniu osobistych uczuć. Czy sztuka ludzkości jest naprawdę bezwarunkowo potrzebna?

Na prawo: Postać Merkura znajdująca się obecnie w zamku Sanssouci jest ciekawym zabytkiem greckiej sztuki.

Wyobraźmy sobie, że tacy mistrzowie jak Bach, Beethoven, Mozart, Chopin, Wagner, Czajkowski wogóle jeszcze nie istnieli: czy zmieniłoby to cośkolwiek w rozwoju ludzkości? Wyobraźmy sobie, że Rembrandt, Rubens, Michał Anioł„ Van Dyck, Matejko, Siemiradzki dotychczas jeszcze nie żyli. Czy odgrywałoby to wogóle jakąś rolę w rozwoju ludzkości? Albo, gdyby dzieła takie, jak „Iliada", „Boska Komedja" „Raj utracony", „Pan Tadeusz", „Faust", wszystkie prace Szekspira nie zostały jeszcze napisane? Miałożby to jaki wpływ na rozwój lub życie ludzkości? Prawie że żaden. Powiedzmy raczej — żaden. Historja rodu ludzkiego wykazała, że ludzkość rozwijała się dzięki postępowi techniki, a nie rozwoju sztuki. Ile zawdzięcza ludzkość prymitywnym narzędziom kamiennym a jaki skok naprzód uczyniła w epoce żelaza! Sztuka była zawsze ową pasierbicą, którą znoszono i ceniono jako coś podrzędniejszego, idącego zaraz po zaletach męskich, jak siła fizyczna w połączeniu ze wszelkiego rodzaju atletyką, gdzie większą wagę przypisywano kunsztowi władania bronią, aniżeli opanowywaniu jakiegoś instrumentu muzycznego. Zczasem stała się sztuka odzwierciedleniem i miarą kulturalnego poziomu jakiegoś narodu.

Między rozwojem sztuki a techniki, istnieje zasadnicza różnica. Technika rozwija się dzięki celowemu dążeniu w jakimś kierunku, co często powodowane jest nie przypadkiem, lecz koniecznością np. pragnieniem szybkiego przenoszenia się z miejsca na miejsce, co w rezultacie doprowadziło pośrednio do skonstruowania pierwszej lokomotywy, pierwszego statku, auta czy aeroplanu.



Powyżej: „Niepokalane Poczęcie" Murilla, znajdujące się obecnie w galerji Lawra

Sztuka przeciwnie nie rozwija się dzięki konieczności, ile dzięki pojawieniu się wybitnej indywidualności nadającej piętno danemu okresowi, takiego Beethovena, Chopina, Rembrandta, Rubensa, Böcklina, Byrona, Goethego, Mickiewicza. Bo artyzm i genjusz jest czemś, czego nauczyć się nie można. Talent można tylko rozwinąć, przy wytrwałości i usilnej pracy doprowadzić do maestrji, ale nigdy do artyzmu. Nie można nikogo nauczyć pisania dobrych wierszy lub powieści, nie można nikomu przysporzyć umiejętności komponowania nieśmiertelnych symfonij, jak nie można kogoś wyćwiczyć w malowaniu arcydzieł, o ile w danych osobnikach nie tkwi odpowiedni talent. Bo od artysty wymaga się ponadprzeciętności. Z tego wniosek, że przeciętny człowiek nie może być artystą. Im większą jest indywidualność danego osobnika, tem większy jest jego genjusz. Sztuka stała się potrzebą duchową dopiero wówczas, gdy ludzkość poczęła



Minjatura słynnego artysty Isabeya, która należy do jednych z jego najlepszych dzieł.

subtelniej odczuwać. Potrzebą duchową, ale nie koniecznością. Koniecznością w ścisłem tego słowa znaczeniu, nie jest ona nawet i dzisiaj. Bo bez znajomości wszystkich symfonij Beethovena, Haydna, fug Bacha, nokturnów Chopina, można sobie życie człowieka roszczącego sobie prawo do wyższej inteligencji najzupełniej wyobrazić. Czyż każdy jest muzykalny i ma zainteresowanie, a tem samem zrozumienie dla muzyki? Są ludzie nieposiadający wogóle słuchu muzycznego, nie reagujący na piękno dźwiękowe utworów, a przecież będący w innych dziedzinach wybitnemi jednostkami. Czyż wszyscy interesują się malarstwem i znają w oryginałach lub reprodukcjach prace Rubensa, Van Dycka, Menzla, Cèzanne, Renoir'a i wielu, wielu innych? Czyż wszyscy, nawet tak zwani inteligentni ludzie, znają oprócz przymusowej literatury szkolnej inne prace Mickiewicza, Goethego, Verlaine'a, Dantego lub Byrona? Na to można z całą stanowczością odpowiedzieć — nie. Jak często muzycy nie mają zrozumienia dla malarstwa, malarze dla muzyki, a ci znów dla poezji! Cóż my, przeciętni Europejczycy, wiemy o poetach tureckich, chińskich, perskich lub indyjskich? Cóż o malarstwie, muzyce lub innej sztuce tychże krajów? Prawie, że nic. Dla nas mogłaby literatura i wogóle sztuka tychże krajów całkiem nie istnieć. I tak przecież o niej prawie, że nie wiemy. Czy odgrywało wogóle malarstwo jaką rolę w rozwoju Europy, a literatura indyjska lub perska ma jaki wpływ na ukształtowanie się życia Europejczyków?

I podobnie, jak dla jednych muzyka jest bez znaczenia w życiu, tak drudzy przechodzą obojętnie obok płócien mistrzów, tak wreszcie inni nie mają zainteresowania dla rytmu i rymów.

Wszyscy jednak nie mogą się obejść bez zdobyczy techniki.

Teraz wylania się pytanie: co było ważniejsze dla rozwoju ludzkości, czy wprowadzenie do muzyki zmniejszonej septimy przez Beethovena, czy zbudowanie pierwszej maszyny parowej? Twórczość Böcklina, czy wynalezienie żarówki elektrycznej przez Edisona lub telefonu przez Grahama Bella? Dzieła Dostojewskiego i Tołstoja, czy zbudowanie pierwszego aparatu radjowego przez ich rodaka Popowa, albo pierwszego auta przez Benza? Postęp techniki, ale nigdy sztuka zrewolucjonizowały życie. Druk, kolej, energja elektryczna, telefon, fotografja, radjo, 480 kilometrów na godzinę autem, 709 aeroplanem. Podobnych przewrotów nie sprowadził klasycyzm, barok, gotyk, renesans, impresjonizm, secesja czy ekspresjonizm. Nowe kierunki w sztuce przechodzą dla ludzkości bez znaczenia, tak, jak septimy wprowadzone przez Beethovena, akord nonowy u Debussy'ego, futuryzm w malarstwie lub beznadziejne wysiłki ekspresjonistów w literaturze. Bo sztuka rozwija się jak każda wiedza — ewolucyjnie, przez głoszenie nowych pojęć, opartych na dawnych zasadach. Dlatego wyeliminowanie przeszłości jest niemożliwe. Sztuka wymaga zrozumienia, odczucia i duszy — jako rezonansu. Sztuka upaja i czaruje i temu czarowi musi się umieć ulec.

To z jednej strony — z drugiej jednak wynalazki są dążeniem ludzkości. Każdy, choćby najmniejszy wysiłek fizyczny chce człowiek zastąpić maszyną.

Tempo — tempo — tempo — tempo!

Ustawiczna zmiana dekoracyj na scenie teatru światowego, ciągle nowe efekty, ciągle pogoń za nowemi wrażeniami, bezustanna zmiana mody, rekordy szybkości, rekordy rekordów, oto życie! Jakżeż cicho i bez znaczenia przechodzą dla ludzkości problemy sztuki! Podniesiona kwinta, obniżona tercja, malarstwo dekoracyjne czy dziury perspektywiczne w obrazach, prawdziwa poezja czy pseudo - poezja — oto są zagadnienia dla kapłanów przybytku muz. Dla szerszych mas — są one obojętne.



Portret p. Żeleńskiej, pastel Stanisława Wyspiańskiego, 1905.

A jednak — jak smutnem i płytkiem byłoby życie, gdyby stuk maszyn nie łączył się ze śpiewem robotników, gdyby warczenie motorów aeroplanowych nie zlewało się gdzieś w przestworzach w harmonijną całość z ulatującemi z nad ziemi akordami symfonij beethovenowskich lub nokturnów szopenowskich — gdyby wzrok nasz znudzony patrzeniem na żelazo - beton nie mógł spocząć na płótnach mistrzów pendzla, odzwierciedlających nam życie przez pryzmat ich duszy, gdyby tęsknota i krzyk zrozpaczonej ludzkości nie były przez mistrzów ujęte w ramy rytmów i rymu.

Sztuka nie jest konieczną do rozwoju, ale uszlachetnia ludzkość. I to nie tylko daje jej prawo bytu, ale wysunęło ją mimo wszystko na pierwsze miejsce w życiu człowieka. Ta „niekonieczność" stała się zczasem dla niego bezwzględną koniecznością. Stała się odbiciem poziomu umysłowego i duchowego. Stała się odbiciem poziomu jego kultury. I ta „niekonieczna" sztuka utorowała sobie dzisiaj drogę nawet do tak bardzo celowej techniki. Praktyczność maszyn łączy się z piękną linją zewnętrznego wyglądu. Wszędzie i w każdym zawodzie tkwi u projektodawcy mały artysta. To poczucie piękna, niema z „prawdziwą" sztuką wiele wspólnego, jest jednak dowodem, że do tej sztuki wszystko i wszyscy się garną. Że sztuka stała się dominującym faktorem w życiu człowieka, bez którego nietylko trudno wyobrazić sobie ludzkości, ale bez którego ludzkość nie może się więcej obejść. Bo sztuka jest tem, co pozornie realizuje jego niedościgłe pragnienia, harmonizuje krzyk duszy i daje mu złudę innego życia, przenosząc go w inny świat — świat marzeń. Bez tej złudy, w obliczu rzeczywistości ludzie dzisiaj żyć nie potrafią. Ergo — sztuka stała się dla ludzkości bezwzględną, ale podświadomą koniecznością. I dlatego płynie w życiu człowieka równolegle działalność praktyczna, utylitarna, z drugiej zaś strony fala poezji i sztuki.

Ludwik Maschoff.



„Zwycięstwo z Samotrake" — rzeźba grecka z III. w. przed nar. Chr.

PEJZAŻ
w amatorskiej fotografji



Zaułek starego Poznania.
Fot. Konrad Hoffman, Poznań.



Lody spływają...
Fot. A. Górecki, Kielce.



W porannem słońcu.
Fot. „W. P.", Wilno



Łabędzie.
Fot. dr. Suszczyński, Inowrocław.



Na lewo:
Zamarły młyn.
Fot. Feliks Nowicki, Kraków.

Sprawa L/17. Nowela

B. Osmólska

Podając Ewie „Times'a", chłopiec hotelowy wsunął jej do ręki kartkę.

Czekała na ten znak od kilku dni. Niedbale rozłożyła kartki dziennika i napozór zajęła się całkowicie lekturą.

Hall wytwornego hotelu londyńskiego był przepełniony. Ewa obserwowała z zaciekawieniem kosmopolityczną publiczność. Nerwy miała napięte jak cięciwy łuku. Instynkt łowiecki podszeptywał jej, że „ofiara" jest w pobliżu.

Co głosiła tajemnicza kartka?

Nie odważyła się zajrzeć, chociaż pokusa była silna. Czyjeś zbyt ciekawe oczy mogą ją obserwować.

Z wyraźnem niezadowoleniem odłożyła pismo i wstała, kierując się w stronę windy.

Bezszelestnie rozsunęły się drzwi. Ewa uczyniła jeszcze jeden krok naprzód, ale w tej chwili zahaczyła wysokim obcasem swego pantofelka o brzeg chodnika. Uczuła, że leci wdół. W tej chwili jakaś silna ręka dźwignęła ją spowrotem.

Odwróciła głowę, aby podziękować wybawcy, ale zamiast uśmiechu ukazał się na jej twarzy bolesny grymas.

— Zdaje się, że skręciłam nogę — szepnęła do siebie.

Wybawca, elegancki młody człowiek, spojrzał na nią ze współczuciem.

— Pozwoli pani, że ją odprowadzę do pokoju — zapytał, a raczej zadecydował.

Silnie ją podtrzymując, wprowadził Ewę do windy.

Opierając się na ramieniu przygodnego towarzysza, Ewe nagle zdała sobie sprawę ze swej nieuprzejmości.

— Proszę mi wybaczyć, że nie uczyniłam tego wcześniej, ale byłam tak oszołomiona bólem...

Młody człowiek zdawał się być zażenowany wdzięcznością Ewy. W tej chwili winda zatrzymała się. Wyprowadził Ewę z kabiny.

— Mieszkam w pokoju Nr. 695 — poinformowała go.

— Jesteśmy wobec tego sąsiadami — zaśmiał się. Pozwoli pani przedstawić się? Jestem Jerzy Warden.

— Nazywam się Ewa Charlis — podała mu swe „tutejsze" nazwisko.

Stanęli przed numerem 695.

— Czy będzie mi wolno dowiedzieć się o stan nóżki pani? A może należałoby wezwać lekarza? — zatroszczył się.

Ewa uśmiechnęła się z wdzięcznością.

— To bardzo miło z pana strony, że się pan tak interesuje mojem zdrowiem.

— W takim razie... Jerzy zawahał się — może zjemy razem kolację?

Ewa zastanawiała się przez chwilę, zanim dała odpowiedź. Czy wolno jej zawierać takie przygodne znajomości? Raczej tak. Odmowa może wzbudzić tylko podejrzenia.

— Będę o ósmej w restauracji na dole.

Podała mu rękę, którą uścisnął rozradowany.

— Urocza dziewczyna — szepnął do siebie.

Tymczasem Ewa szybko się rozebrała, zmoczyła serwetkę w zimnej wodzie i przyłożyła ją do opuchniętej kostki.

Tak była zajęta myślami o Jerzym Wardenie, że po dłuższej chwili przypomniała sobie o otrzymanej w hallu kartce. Rozwinęła ją szybko. Trzy cyfry rzuciły się jej w oczy. 696. — Czyżby Warden był tym niebezpiecznym szpiegiem, L-17, którego należało unieszkodliwić za wszelką cenę, zdaniem „Intelligence Service'u?

Przysunęła się do ściany sąsiadującej z pokojem 696. Usłyszała skrzypienie otwieranych drzwi szafy, potem męski głos zagwizdał kilka taktów popularnego slow-foxa.

Nie miała wątpliwości. Był to głos Jerzego Wardena. Chwyciła kartkę, niedowierzając jeszcze oczom. Nagle zmartwiała. Powoli odwróciła kartkę, tak, że mogła odczytać ją odwrotnie. — 969...

Zaklęła gniewnie. Zniechęcona opadła na fotel. Nie spodziewała się takiego niedoptrzenia ze strony szefa.

Teraz musi obserwować dwie osoby. Kto mieszka pod numerem 969?

— By Jove! Stary dureń — Ewa miała ochotę wysypać cały stek odpowiednich powiedzonek pod adresem szefa, ale zmitygowała się szybko.

Z pasją zapaliła papierosa, poczem spaliła kartkę, a popiół wysypała do umywalni i zmyła resztki wody.

Zmęczona wrażeniami dnia rzuciła się na tapczan. Po chwili już spała, pozostawiając rzeczy ich własnemu biegowi. Było już zupełnie ciemno, gdy się obudziła. Przerażona zapaliła światło i spojrzała na zegarek. Było już po siódmej. Zaczęła się pośpiesznie ubierać.

Skonstatowała z zadowoleniem, że spuchlizna z kostki zeszła zupełnie.

Siedząc przed lustrem uśmiechnęła się do siebie łobuzersko. Coby powiedzieli jej wytworni znajomi, gdyby wiedzieli, że jest jedną z najzdolniejszych agentek Tajnego Wywiadu? Ona — lady Erwitt!

Zaśmiała się głośno. Widziała minę starego lorda Herword, twierdzącego uparcie, że wszystkich tajnych agentów należy powystrzelać karabinami maszynowemi. Ładny byłby bigos!

Skacząc na jednej nodze, pobiegła do szafy, aby wybrać toaletę. Wahała się długo między wyborem skromnej jasnoniebieskiej sukienki, a wytworną toaletą, ze srebrnej lamy.

Dziwiła się przytem samej sobie, że przywiązuje taką wagę do wyboru sukni, aż wreszcie doszła do wniosku, że widocznie wynudziła się dostatecznie wśród tych starych mamutów na wsi i że ze względu na towarzystwo młodego człowieka należy się starannie ubrać.

Uspokojona, nie troszcząc się już więcej o stan swego serca, narzuciła suknię. Hołdując zasadzie, że punktualność jest grzecznością królów, o ósmej znalazła się w restauracji.

Jerzy już czekał. Wybrał odosobniony stolik w niszy, aby nikt im nie przeszkadzał. Ewa była zadowolona — w czasie „służb-" wolała nie spotykać swych znajomych, o których nie było przecie trudno w tym znanym hotelu. Co do Jerzego — nie miała określonego planu działania. Przekonała się dawno, że tak jest najlepiej. Jerzy był oślniony nową znajoma. Wieczorowa toaleta podkreślała lepiej jej subtelną urodę.

Rozmowa potoczyła się gładko i wesoło. Ewa opowiadała swobodnie o swych wakacjach, spędzonych w cichym zakątku wsi angielskiej. Z humorem opisywała towarzystwo starszych panów, z którymi była zmuszona przebywać.

W pewnym momencie Jerzy napomknął, że dopiero tego dnia przyjechał do Londynu, również z wywczasów.

Ewa uczuła dziwny ucisk w okolicy serca. Jej „zwierzyna" również miała tego dnia przyjechać. Zaniepokoiła się swym stanem. Nigdy nie było jej żal, gdy oszukiwała swe „ofiary", jak zwykła mówić, ale teraz... „Czyżbym zakochała się ?"

— Ewo, o czem pani myśli? — czy można wiedzieć?

Głos Jerzego wyrwał ją z odrętwienia.

Całą siłą woli przybrała maskę wesołości, tak szczerej przed chwilą... Postanowiła być podwójnie czujną.

— Ewo, pani musiała się zakochać na tej przeklętej wsi! — zawołał nagle Jerzy rozżalony.

Teraz Ewa roześmiała się szczerze i serdecznie. „Ach, gdybyś ty wiedział, głupi chłopcze" — pomyślała — „co mnie teraz gnębi".

— Czyż miałam czekać na poznanie pana? — zapytał wyzywająco.

— Tak! — rzucił twardo.

Teraz Ewa się zachmurzyła, takie

zarozumialstwo! Nareszcie mogła dać ujście swej pasji.
— Pan jest doprawdy zabawny — wycedziła, z trudem hamując się... O ile się nie mylę — ciągnęła ironicznie dalej, nie dawałam panu nigdy żadnych obietnic, tem bardziej, że znamy się zaledwie kilka godzin. Żałuję tylko, że zgodziłam się na wspólny obiad. Będę miała naukę na przyszłość, żeby nie zawierać pochopnie przygodnych znajomości. Żegnam!
Wstała. Jerzy również zerwał się z krzesła.
— Wypowiada mi pani wojnę? — zapytał twardo. — Uprzedzam, że nie mam zwyczaju szybko rezygnować z moich planów.
— Nie wypowiadam panu wojny Mr. Warden — z tej prostej przyczyny, że uważam naszą znajomość za skończoną.
Zwróciła się do kelnera, każąc mu dopisać rachunek za kolację do ogólnego rachunku. Wzburzona skierowała się w stronę wyjścia, pozostawiając osłupiałego Jerzego, nie zaszczyciwszy go ani jednem spojrzeniem.
Jerzy ochłonął dopiero po dłuższej chwili. Ewa obraziła go śmiertelnie, spoliczkowała go moralnie! A przecież — on naprawdę zakochał się w niej od pierwszego wejrzenia. Chciwie wypił kieliszek konjaku.
Znalazłszy się w hallu, Ewa opanowała się zupełnie. Żałowała swego kroku. Lepiej było zachować pozory i przyjąć wszystko za manewr flirciarski. Ale sumienie buntowało się. Czuła, że nie mogłaby walczyć skutecznie z tym czarującym wrogiem, gdyby czuła ciągle na sobie jego zakochane spojrzenie. Ocknęła się dopiero na dźwięk znajomego głosu.
— Ewa! — wołał ucieszony lord Hereword.
— Ach, to pan, lordzie? — Uśmiechnęła się z przymusem. Co za niespodzianka.
— Raczej dla mnie! — śmiał się. Byłem przekonany, że pozostaje pani jeszcze na wsi. Brzydko, że nie odezwała się pani do nas po powrocie.
— Święta racja, drogi lordzie, ale taka jestem zajęta... Sprawunki i sprawunki! Odnawiam teraz mieszkanie i dlatego mieszkam tutaj.
— Ach, te emancypowane panny — westchnął. Zamiast jak dawniej w takim wypadku zamieszkać u krewnych lub u znajomych, młoda dama zamieszkuje w hotelu!
Ewa śmiała się serdecznie.
— Ale oto mój znajomy, z którym umówiłem się. Przyjechał dzisiaj rano, ale nie mogłem się wcześniej z nim widzieć...
Uścisnęła mu pośpiesznie dłoń i skierowała się w stronę windy. Przelotem zauważyła badawcze spojrzenie starszego pana, najwidoczniej znajomego lorda Hereword. Intuicyjnie nie spodobał jej się... Zawróciła i kazała portjerowi podać sobie książkę hotelową. Szybko odszukała pokój Nr. 969. Zajmował go niejaki Mr. R. Reed. Nazwisko nic jej nie mówiło. Jak go poznać wśród setek innych gości hotelowych? Przypadek przyszedł jej z pomocą.
Zauważyła, że lord Hereword ze swym znajomym wchodzą na piętro. Wiedziona intuicją udała się za nimi. Panowie weszli na pierwsze piętro i weszli do mieszkania. Ewa sprawdziła numer pokoju. Był to 969!
Oniemiała. Dopiero teraz sobie przypomniała, że w tym hotelu, w przeciwieństwie do innych, pokoje są tak dziwacznie numerowane. Na pierwszem piętrze są pokoje oznaczone najwyższemi numerami. Im było wyższe piętro, tem niższe cyfry. Cofnęła się pośpiesznie, mając nową zagadkę do rozwiązania.
Niesympatyczny Mr. Reed musi być przyzwoitym człowiekiem, skoro Hereword utrzymuje z nim kontakt. Ale równie dobrze może on oszukiwać lorda...
Istnieje też uroczy, zabawny w swej bezpośredniości Jerzy...
Do późnej nocy rzucała się na swem łóżku, szukając rozwiązania zagadki. Napróżno.
Wreszcie usnęła.
Nie słyszała plączących się kroków Jerzego, który po pijanemu nie mógł trafić do swego pokoju.
Obudziła się późno. Zaczęły jej majaczyć się przeżycia poprzedniego dnia, ale odsunęła je od siebie. Zimny prysznic orzeźwił ją zupełnie.
Na obiad udała się do skromnej mleczarni, gdzie w nagłych wypadkach znajdowała instrukcje, szyfrowane w jadłospisie. Szef nie wzywał z zasady agentów do siebie w czasie ich działania.
Na chybił trafił wybrała jakąś potrawę i zagłębiła się w czytaniu. Praca była trudna, gdyż Ewa musiała się posługiwać tylko pamięcią. Po kilku minutach wytężonej pracy odszyfrowała instrukcje.
„Czekać przed hotelem o dziesiątej, zwabić za wszelką cenę L-17 do sąsiedniego domu. Mieszkanie Nr. 15. Zrewidować pokój".
Ewa była wściekła. Nie piszą kto jest tym L-17. Jak to sprawdzić?
Była tak pochłonięta myślami, że nie zauważyła Jerzego, który wszedł do restauracji. Widząc ją, chciał się cofnąć, ale było zapóźno. Ewa podniosła oczy. Ukłonił się grzecznie. Udała, że go nie poznaje.
Jerzy coś podejrzewa! Szpieguje ją!
Jerzy przeszedł do sąsiedniej sali, napozór niestropiony jej zachowaniem.
Rozgniewało ją to bardzo. Uregulowała rachunek i pośpiesznie wyszła. Jadąc taksówką do hotelu, starała się zrozumieć grę Jerzego, ale napróżno. Jedynem, możliwem wytłómaczeniem jego postepowania było to, że on ją woli śledzić, niż, żeby miało być odwrotnie. A on udawał, że się w niej kocha. Podlec!
Wysiadła niedaleko hotelu, przeczekała w jakiejś bramie, aż szofer odjedzie i dopiero wtedy wyszła.
Biorąc klucze od portjera, stwierdziła z zadowoleniem, że Mr. Reed wyszedł. Jerzy też chyba nieprędko wróci. Należy skorzystać z nadarzającej się okazji. W pokoju wyciągnęła z dna walizki pęk kluczy i udała się na pierwsze piętro. Niezauważona przez nikogo dostała się do pokoju Mr. Reeda.
Pracowała długo, starannie przeszukując wszystko, ale bezskutecznie. Sprawdziwszy, czy nie pozostał ślad roboty, wróciła do siebie.
Jerzy jeszcze nie wrócił. Postanowiła odrazu załatwić się z jego pokojem.
Po chwili była już u niego. Uderzył ją panujący tu wzorowy porządek. Otworzyła szafę i rozpoczęła poszukiwania. Z lubością wdychała zapach doskonałej wody kolońskiej, którą były przepojone ubrania Jerzego. W kieszeni sportowej marynarki natrafiła na jakąś kartkę. Rozwinęła ją szybko. Była zapełniona szeregiem cyfr.
Wtem usłyszała kroki na korytarzu. Pośpiesznie wsunęła kartkę za bluzkę i zamarła w oczekiwaniu. Przeczucie mówiło jej, że to Jerzy wraca.
Rzeczywiście usłyszała jak wsunął klucz do zamka. Przysunęła się do drzwi, tak, że wchodzący nie mógł jej widzieć, zaciskając w dłoni pęk kluczy. Była zdecydowana na wszystko.
Jerzy wszedł do pokoju.
Ewa wzniosła rękę do ciosu. W tej chwili Jerzy obrócił się, jednym skokiem był przy niej. Wyraz bezgranicznego zdumienia odbił się na jego twarzy. Pochwycił jej wzniesioną dłoń i ścisnął tak silnie, że wypuściła klucze, które z hałasem upadły na podłogę.
Jerzy oparł się plecami o drzwi, tarasując w ten sposób wyjście.
— Jakże to miło z pani strony, że zechciała mnie odwiedzić. Czemże zasłużyłem sobie na ten zaszczyt? — pytał z ironją.
— Proszę mnie wypuścić — wykrztusiła wreszcie nieswoim głosem.
— O, nie tak prędko, piękna pani — zaśmiał się ironicznie. Muszę wykorzystać tę niezwykłą okazję!
Ewa zbliżyła się do drzwi, ale Jerzy stał nieporuszony. Była prześliczna w tej chwili... Nozdrza jej drżały. Oczy lśniły gniewnie. Jerzy nie mógł się oprzeć pokusie.
— A kara, piękna włamywaczko? — zapytał.
Nagle porwał ją w objęcia i zasypał gradem pocałunków. Ewa broniła się początkowo, ale kara była zbyt przyjemna, aby długo walczyć. Poddała się jego pocałunkom...
Wreszcie zdołała się wysunąć z jego ramion. Oceniła sytuację. Jednym skokiem znalazła się przy drzwiach i wybiegła na korytarz.
Ewa nie ochłonęła jeszcze z doznanych wrażeń, a już pełne troski myśli ją ogarnęły.
— Jerzy uważa mnie za złodziejkę — filozofowała. — Jeżeli zamelduje teraz o wszystkiem w dyrekcji, będę skompromitowana. Chociaż, kto wie? Może go wyśmieją i posądzą o halucynację? Jeżeli będzie czekał z tem do jutra — będzie mi chodził po piętach i gotów mi popsuć całą robotę, o ile oczywiście Reed jest L-17. Jeżeli on sam jest tym L-17... — wzdrygnęła się. Tem gorzej. Nie będę mogła walczyć z nim.
Ukryła twarz w dłoniach i rozpłakała się jak dziecko.
Uspokoiła się po dłuższej chwili. Postanowiła walczyć z wrogiem swego kraju, choćby to był nawet Jerzy.
Zatuszowała ślady łez i wybiegła z hotelu.

* * *

O wpół do dziesiątej przed hotelem Excelsior zaczęła krążyć wyzywająco ubrana dziewczyna. Wysokie obcasy jej pantofelków stukały miarowo o trotuar. Co pewien czas spoglądała na zegar na sąsiedniej wieży. Jaskrawo umalowane usta uśmiechały się wyzywająco, ale oczy pozostawały smutne.
Nagle drgnęła. Z hotelu wyszedł Jerzy i skierował się w jej stronę... Brakowało dziesięciu minut do dziesiątej. Ewa zawahała się. Nie wiedziała co ma czynić. Instrukcja mówiła wyraźnie — że L-17 będzie wracał do hotelu... Postanowiła zaniechać Jerzego, nawet je-

Dokończenie na str. 31-ej.



NA LINACH W GÓRY... Moment przejazdu wagonika kolejki linowej z Kuźnic na Myślenickie Turnie. Fot. dr. A. Wieczorek.

Z GHETTA
NA KARTY HISTORJI

Wielka Brytanja została w roku bieżącym ciężko doświadczona przez los: w krótkim czasie utraciła swych najlepszych synów — króla Jerzego V., Rudyarda Kiplinga, admirała Jellicoe i Izaka Rufusa, margrabiego of Reading. Bodaj tylko w Anglji można te nazwiska wymienić jednym tchem, tak bardzo objektywnie Anglik umie osądzać zasługi jednostki dla państwa bez względu na jej pochodzenie. Fala silnego antysemityzmu, szerząca się z żywiołową siłą w Europie nie dotknęła Anglji, która oddawna dopuszcza do rządów również jednostki pochodzenia żydowskiego, o ile wykażą odpowiedni poziom kulturalny, no i, rzecz prosta, odpowiednie zdolności. Znany z tolerancji dla Żydów



Charakterystyczny fragment uliczki na Kazimierzu w Krakowie z bramą wiodącą do bóżnicy.



Od góry: Herb nieprawego syna Kazimierza W. i Esterki — Mięszaniec. — Herb Merawy, nadany przez Jana Olbrachta w 1499 r. Stanisławowi Oszejce.

był Edward VII., który nadał wielu z nich wysokie tytuły rodzinne i zaszczytne urzędy. Przecież tradycja Żydów służenia Wielkiej Brytanji sięga panowania królowej Wiktorji, tej nadwyraz mądrej monarchini, umiejącej wszystko osądzić przedewszystkiem zdrowym, praktycznym rozsądkiem ludzkim. Gdy w r. 1876 Benjamin Disraeli, zdolny autor a przedewszystkiem kanclerz skarbu i premjer otrzymał tytuł hrabiego of Beaconfield (miasteczko tej nazwy leży w hr. Buckingham), zapomniano o tem, że przy pierwszem jego wystąpieniu w Izbie Gmin przywitano go okrzykami „Stare ubrania! Tandeta!", będącymi aluzją do jego pochodzenia. Istotnie był on potomkiem żydowskich kupców, którzy przenieśli się z Wenecji do Anglji w r. 1748. Ojciec jego Izak przyjął protestantyzm w r. 1817, a syn, późniejszy premjer rozpoczął swą karjerę jako dziennikarz i autor poczytnej w swoim czasie powieści „Vivian Grey", jako mąż stanu zaś przyczynił się do zespolenia Anglji z Indjami i do przyjęcia przez królowę tytułu cesarzowej Indji. Nieomal bardziej jeszcze zdumiewającą była karjera margrabiego of Reading, Rufusa Daniela Isaacsa.

Rodzice Readinga pochodzili z Krakowa i byli Żydami, handlującymi starzyzną. Ojciec późniejszego męża stanu miał na imię Izak i stąd pochodzi jego późniejsze nazwisko Isaacs. — Przeniósłszy się do Londynu, zamieszkali w dzielnicy żydowskiej Eastendu, gdzie spotkali się ze swymi współwyznawcami z Polski. W tej nieomal nędzarskiej atmosferze ghetta londyńskiego spędził młodość Rufus i jego brat Gotfried Isaacsowie, poczynając zarabiać jako gońcy w okolicach giełdy. Następnie po wielu przejściach, upadkach i wzlotach socjalnych, Isaacs kończy wydział prawny uniwersytetu londyńskiego. Wypadek, jakich wiele w życiu, styka Gotfrieda Isaacsa z Marconim, którego wynalazek — telegraf bez drutu — finansuje, nabywając na wszystkie brytyjskie posiadłości patent. Sukces z Marconim jest punktem wyjścia dla karjery obu braci. Wkrótce, w r. 1900, Rufus Isaacs stawia swój mandat do Izby gmin jako kandydat liberalny w Konsington i przepada przy wyborach, by w cztery lata później zostać wybranym z przedmieścia londyńskiego Reading,, którego nazwa ozdobi później wraz z tytułem markiza jego nazwisko. W r. 1917 wysyła go rząd angielski do Waszyngtonu celem skłonienia U. S. A. do wzięcia udziału w wojnie. Misja się udaje i lord Reading otrzymuje tytuł Earl'a. Wkońcu w r. 1921 ubogi niegdyś żyd londyński zostaje wicekrólem Indyj i pozostaje na tem stanowisku do r. 1926. Na pozłocistym tronie wicekróla przyjmuje on hołdy dumnych maharadżów! W r. 1931 jest przez krótki czas ministrem spraw zagranicznych. Ciekawem jest to, że mimo zaszczytów Reading do ostatniej chwili życia pozostaje głęboko religijny, sympatyzuje z żydowskiemi tradycjami i serdecznie przywiązany jest do rodziców. Darowuje im willę z pięknym parkiem w dzielnicy St. John's Wood, przytykającym do synagogi. W dni świąteczne do pałacu Readinga przychodzi stary, brodaty Żyd w chałacie i lisiej czapce, by odwiedzić swego syna.

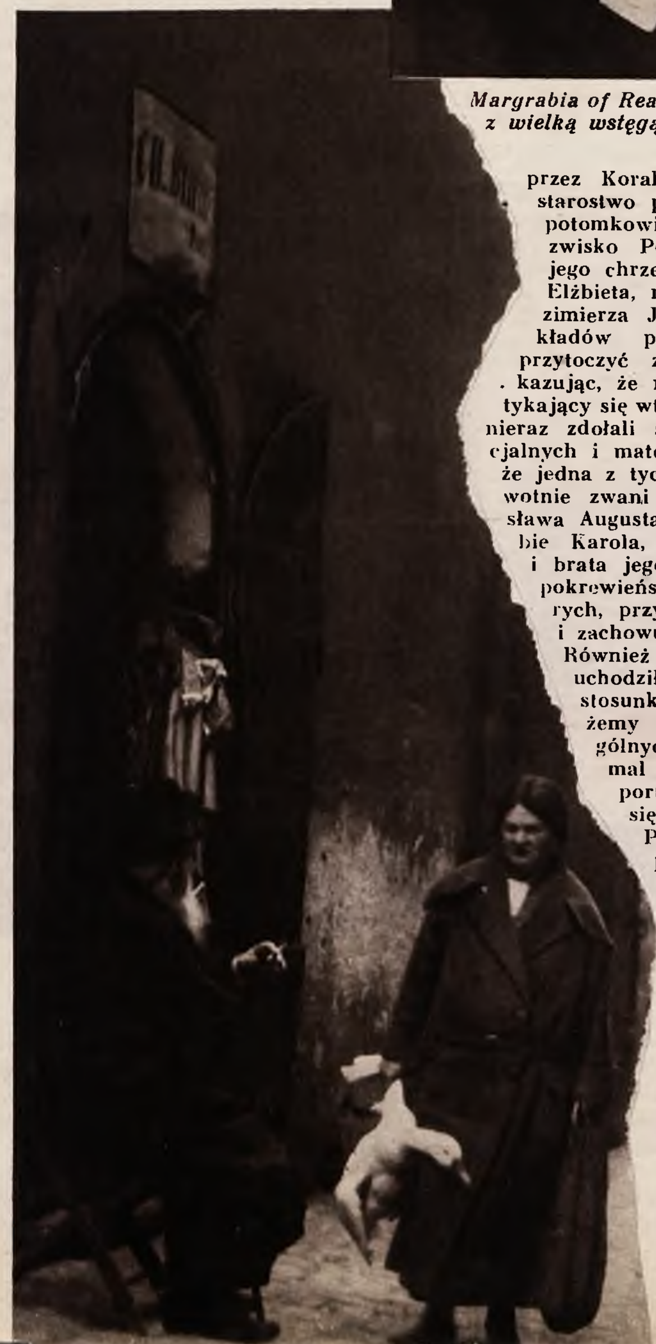
Jeżeli bliżej przyjrzymy się historji narodów stwierdzimy, że przytoczone wypadki miały wiele odpowiedników w innych również krajach. Abraham Ezofowicz vel Józefowicz, Żyd, pochodzeniem z Kijowa, wychrzczony w r. 1499 jest w łaskach u króla Kazimierza Jagiellończyka, który nadaje mu godność horodniczego mińskiego, 1495 robi go zaś starostą miasta Smoleńska, w r. 1506 darowuje mu dobra Wojduny, a nadto otrzymuje on od Zygmunta Starego szlachectwo i herb Leliwę, do którego przypuszcza go Jan Zabrzeziński, marszałek litewski, w r. 1507. Dalsze zaszczyty nie każą na siebie czekać:

Poniżej: Fragment obrazu Matejki, przedstawiającego hołd pruski, podczas którego król Zygmunt Stary nadał szlachectwo Michałowi Józefowiczowi.



w r. 1509 otrzymuje on dwór Hryńkowski, a wkrótce potem dobra Hlebiszki, od których potomkowie jego przyjmują nazwisko Hlebickich. Zostaje starostą kowieńskim, podskarbim litewskim. Za kulisami zaszczytów kryje się oczywiście pieniądz i wielka zresztą indywidualność: pożycza on królowi 1514 10 tys. dukatów i nieraz jeszcze zapełni pustą zwykle szkatułę króla. Już jego syn żeni się z panną z pierwszorzędnej rodziny litewskiej, Jadwigą, córką Jurjego Illinicza, hrabiego S. R. I. Również brat podskarbiego, Michel, otrzymuje szlachectwo, nie będąc jeszcze, pozostając Żydami, osiadaką karjerę. Synowie jego Duch, Awraszka i Chemia Michelewicze, pozostając żydami, osiadają na Kazimierzu w Krakowie, podupadają jednak finansowo i wsiąkają w czarną masę żydowskiego pospólstwa. Król Zygmunt Stary, życzliwy Żydom, odznacza szlachectwem polskiem Stefana Fiszla, który adoptowany zostaje do herbu przez Korabitów i otrzymuje starostwo powidzkie, stąd też potomkowie przybierają nazwisko Powidzkich. Matką jego chrzestną była królowa Elżbieta, małżonka króla Kazimierza Jagiellończyka. Przykładów podobnych możnaby przytoczyć znacznie więcej, wykazując, że nawet Żydzi, spotykający się wtedy z prześladowaniem, nieraz zdołali stanąć na wyżynach socjalnych i materjalnych. Ciekawem jest, że jedna z tych rodzin, Simolinowie, pierwotnie zwani Szmul, otrzymawszy od Stanisława Augusta tytuł baronowski 1776, w osobie Karola, rosyjskiego radcy nadwornego i brata jego Jana, poczęli pretendować do pokrewieństwa z domem królewskim Batorych, przyjmując ich nazwisko do swego i zachowując je do dziś dnia!

Poniżej: Z tych mrocznych uliczek żydowskiego ghetta wyszło wiele postaci historycznych.





Margrabia of Reading, wicekról Indyj, z wielką wstęgą orderu Ostu.

Również w historji Rosji, która zawsze uchodziła za kraj najbardziej wrogo ustosunkowany do Żydów, spotkać możemy przykłady wybicia się poszczególnych jednostek na historyczne nieomal stanowiska. I tak pewien żyd portugalski, Antoni de Vier, dostaje się jako majtek okrętu na dwór Piotra W. podczas jego podróży po Holandji. Wkrótce zostaje on adjutantem cara, generał-policmajstrem Petersburga, a Katarzyna I. nadaje mu tytuł hrabiowski 1726 r. Inny żyd z Hesji, Franciszek Kankrin, przybywa do Rosji za panowania Katarzyny W. i staje na czele zarządu salinami w Staraja Rusa. Syn jego Jerzy Kankrin zostaje ministrem finansów Rosji i otrzymuje tytuł hrabiowski w r. 1829. Jeszcze inny żyd, Piotr Szafirow (Szapiro), zostaje wicekanclerzem Rosji za Piotra W., a przez swe córki księżnę Annę Gagarin, ks. Marfę Dołgoruki i hr. Natalję Gołowin większa część arystokracji rosyjskiej zalicza się do jego potomków.

Nic dziwnego, że historycy, szukający sensacji w dziejach narodów, wiele znanych osobistości i rodzin wywodzą z pnia żydowskiego, co nie zawsze jednak zgadza się z prawdą. Z bardziej sensacyjnych wypadków wzniesienia się na wyżyny życia socjalnego rodzin żydowskich należy przypomnieć rodzinę Torlonia, książąt di Civitella-Cesi, na Musignano, Carino, Farnese i Fucino, którzy z Giovannim Torlonią podczas rewolucji francuskiej zdobyli na spekulacjach olbrzymi majątek. Syn jego Marino staje się pierwszym księciem tej rodziny, która duży majątek zyskuje przez osuszenie jeziora Fucino w latach 1852—1872, co daje im przeszło 14 tys. hektarów najlepszej ziemi. Wnuk jego Don Alessandro Torlonia ożenił się rok temu z infantką hiszpańską Beatrice, córką Alfonsa XIII, która ostatnio urodziła najmłodszego potomka Torloniów.

Wysoce sensacyjną jest wersja niektórych historyków, według której Napoleon III. był by synem Żyda, oficera marynarki holenderskiej, Carela Henrika Verhuel-Badineta, utrzymującego z królową Hortensją długotrwały romans. Fizjonomiści dopatrują się u cesarza pewnych charakterystycznych cech semickich, lecz historja nie wypowiedziała się jeszcze w tej sprawie.

Poniżej: Benjamin Disraeli, późniejszy Earl of Beaconsfield.



Niejedną jeszcze możnaby przytoczyć podobnie sensacyjną wersję: oto kochanek Marji Stuart, Rizzi miał być pochodzenia żydowskiego, oto słynna rodzina włoska Borghese również miałaby się wywodzić z rzymskiego ghetta, a u nas w Polsce znana rodzina Zbąskich, herbu Nałęcz, według niektórych heraldyków, pochodzi po jednym z synów nieprawych Kazimierza W. i Esterki.

Jest więcej jak pewne, że oficjalna historja daleko mniej nam wyjaśnia powody takich czy innych zdarzeń, niż zakulisowe i raczej anegdotyczne wiadomości, a łatwo stwierdzić, że nieraz wieki zacierają ślad pierwotnego pochodzenia i kolebkę, która stała w żydowskiem ghetto przenoszą do starożytnych zamków, myląc w ten sposób orjentację potomnych. Jest to tylko jeden dowód więcej, wykazujący, że życie polega na ciągłem wymieszaniu różnorakich elementów i na ciągłej ewolucji.

Jan Maleszewski.

PARADA LALEK



Na lewo: Hr. Helena Tarnowska, „miss Patria“ w Krynicy na r. 1936 w otoczeniu dam dworu pp. Krystyny Mrozowskiej i Ireny Domaradzkiej w towarzystwie ojca mistrza Jana Kiepury. — Nagrodą przywiązaną do tytułu „miss Patria“ była piękna lalka.

Fot. Z. Garzyński — Krynica.



Lalka, wykonana przez p. Łazarską, przedstawia kwieciarkę paryską z czasów biedermajerowskich.



Lalki Stefanji Łazarskiej wyobrażają po większej części kobiety ubrane w regjonalne stroje polskie.



Nadwyraz ciekawe lalki Cyrano de Bergerac'a i jego narzeczonej stworzyła uzdolniona artystka rosyjska Zina Wasiliew.



Dwie wieśniaczki łowickie w strojach regjonalnych — wykonane przez p. Łazarską.

Jeszcze nie tak dawno każda dziewczynka do dwunastu lat, zapytywana, czego sobie życzy na imieniny, czy też od Świętego Mikołaja, odpowiadała: „Laleczkę!“ Pokój dziecięcy był królestwem lalek, które nużyły wzrok dorosłych jednostajnością swych martwych, porcelanowych twarzyczek. Dziewczynka wyładowywała instynkt macierzyński na bezdusznej laleczce o szablonowej twarzy, ubierała ją w sukienki własnego pomysłu i czesała szablonowo.

A dzisiaj? Jakżeż dużo zmieniło się w tej dziedzinie! Regularna, jaskrawo wymalowana, bezmyślna buzia laleczki przeobraziła się w zalotną kobietę w fantazyjnym stroju rococowej damy, Krakowianki o ludowym charakterze, góralki, rozmarzonego pierota, hiszpańskiej tancerki itp. Lalka zaczęła interesować dojrzałe kobiety i zaludniać buduary i salony. Wdarła się nawet pod postacią maskotty na okręty, do samochodu i samolotu.

Kobietą, która dokonała tego przeobrażenia inwencją swego talentu i artystycznej pomysłowości, jest Polka, pani Stefanja Łazarska, mieszkająca obecnie w Paryżu.

— Kocham dzieci — opowiada p. Łazarska — i zawsze bolało mnie to, że bawiły się brzydkiemi zabawkami niemieckiego pochodzenia. Marzyłam o tem, aby dać dzieciom zabawki piękne w polskim stylu.

— Wojna, która zastała artystyczną kolonję w Paryżu — należałam do niej również jako młoda mężatka — odcięła nas od kraju i zmusiła do szukania pracy zarobkowej. Postanowiłam zorganizować warsztaty wyrobu lalek. Około 70 członków kolonji polskiej zabrało się żywo do dzieła. W braku materjałów do ubierania lalek, poświęciłam na ten cel swoją nową wyprawę. Było to jednak za mało. Dobry duch naszej kolonji, ks. Roupert, zainteresował się naszą pracą, zaczął za nami agitować i zbierać po sklepach i magazynach resztki materjałów. Naszym wysiłkom patronowali państwo Władysławostwo Mickiewiczowie i córka ich, Marja.

Tak powstały pierwsze nasze lalki, naprawdę ładne i artystyczne, o indywidualnym wyrazie, typy rdzennie polskie, w strojach regjonalnych. Doskonale wypadły typy lalek krakowskich, Wałek i Kaśka, dzieła Stefanji Fiszerówny, oraz pastuszka i żydówka, której suknia była uszyta ze starego ubrania Bogdana Zaleskiego. Peruki robiliśmy z wełny, jedwabiu lub futra.

Wkrótce polskie lalki znajdywały coraz więcej nabywców. Rozpowszechniała je wielka malarka polska Olga Boznańska, a Amerykanie kupowali nasze lalki bardzo chętnie. Wałek krakowiak dostał się Amerykance p. Hardy i wyjechał na okręcie „Sussex“. Dziwnym zbiegiem okoliczności mina podwodna rozerwała okręt, a ocalała ta strona, której maskotą był nasz Wałek.

Mimo wszystko rezultaty wyrobu lalek polskich były jeszcze stosunkowo nikłe. Dopiero przejeżdżający przez Paryż w r. 1915 Ignacy Paderewski z żoną zajął się szczerze naszą pracą. W połowie sierpnia otrzymaliśmy z Ameryki szereg depesz, nawołujących nas do wysłania kilku partyj po kilkaset lalek. Pierwszą osobą, finansującą nasze przedsiębiorstwo, była stara służąca państwa Mickiewiczów, Jagusia, która pożyczyła nam 300 franków. Później pomagał nam wydatnie hr. Władysław Zamoyski, pożyczając 4.000 franków miesięcznie. Sprzedaż lalek przez Paderewskiego w Ameryce zasilała fundusz ofiar wojny.

Kilka wystaw w r. 1916 spopularyzowało lalki polskie do tego stopnia, że stały się modne w całej Francji. Z czasem znalazło w naszych warsztatach zajęcie ponad 200 ludzi.

— W jaki sposób udało się pani zainteresować naszemi lalkami świat cały?

— Najważniejszy etap wyrobu lalek polskich rozpoczął się od przedstawienia szopki polskiej w „Théatre des Arts“ w r. 1917. Obecny na przedstawieniu dyrektor opery paryskiej tak się zachwycił naszą imprezą, że zamierzał powtórzyć ją w operze. Niestety zamierzenie to nie doszło do skutku ze względów natury technicznej.

Gdy żona obecnego następcy tronu włoskiego, księżniczka belgijska, Marja José, przebywała podczas wojny z rodzicami na wygnaniu w Anglji, wysłaliśmy dla niej w upominku skrzynię pełną polskich lalek. Dedykacja podarunku brzmiała: „Wygnance belgijskiej — wygnańcy polscy“. Wówczas prasa całego świata nie kryła się z zachwytem dla naszych wyrobów.

Dzisiaj przyjął się stylizowany typ lalek, jako ozdoby salonów na całym świecie. Nawet w modzie damskiej zaczyna lalka zajmować poczesne miejsce. Ostatnio wprowadzono w Paryżu lalki wielkości niemowląt, zastępujące torebki. Zamykane na błyskawiczny zamek, stanowią wygodne pomieszczenie drobiazgów, z któremi nie rozstaje się żadna kobieta.

W celu przestudjowania rzeźb historycznych i figur świętych, przyjechała p. Łazarska w maju ub. roku do Krakowa. Przyszło jej na myśl wykonać dla międzynarodowej wystawy „Fidac“ w Paryżu t. zw. „Świątki“ czyli figury, przedstawiające stylizowanych świętych polskich, co sie też w zupełności udało. Jak sama opowiada, dostojny nastrój muzeów krakowskich i nieprzebrane skarby materjałów umożliwiły jej stworzenie nowego typu lalki dla muzeów etnograficznych.

W ten sposób wprowadziła Stefanja Łazarska w zakresie twórczości lalek nieznane dotychczas interesujące i wysoce artystyczne momenty. Zabawka stała się dziełem sztuki, spełniając swe zadanie tak w pokoju dziecinnym, jak w buduarze, w salonie, jako maskoty sportowców, a nawet w muzeum.

Marzenna Sarjusz-Stokowska.

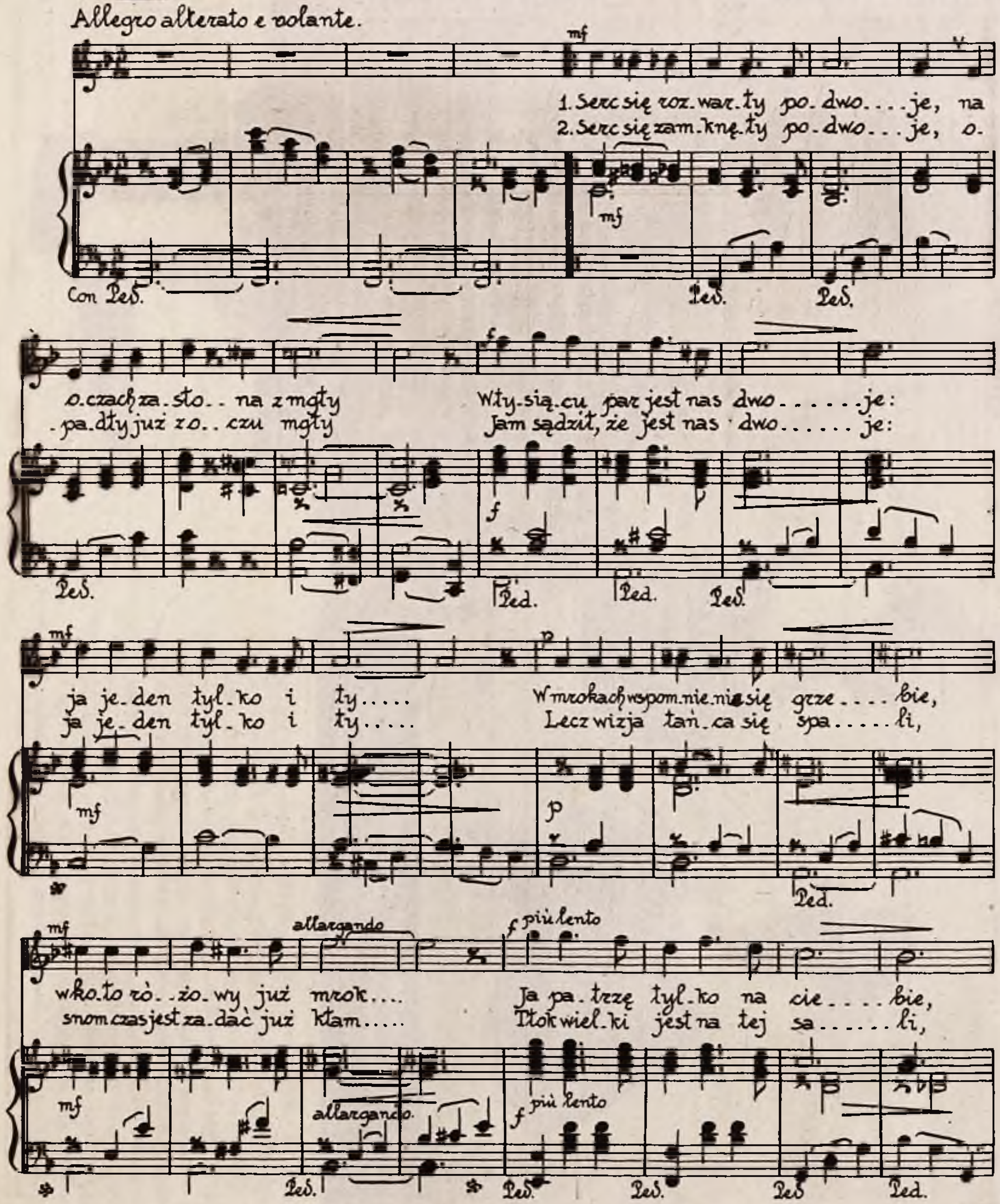


NASZ PRZEBÓJ MUZYCZNY

NA BALU

WALC

Muzyka St. J. Rączki. Słowa K. Ćwierka.





Zamieszczony w niniejszym numerze walc „Na balu" skomponował prof. Stanisław Rączka, znany kompozytor utworów chóralnych, z pośród których wiele otrzymało nagrody na międzynarodowych konkursach muzycznych (I nagroda w Ameryce za „Pieśń studencką", III nagroda na konkursie lwowskim za „Umarłe lokomotywy" i wiele innych). Walc „Na balu" odznacza się oryginalną fakturą i bardzo miłą melodją, to też niewątpliwie stanie się przebojem wiosennego sezonu tanecznego. Słowa napisał p. K. Ćwierk.

Po lodzie — z wiatrem w zawody...



...przed nami leżało olbrzymie jezioro Narocz, skute w lodowe okowy...

Sanna wspaniała, śnieg twardy zmarznięty, niebo ciemno-atramentowe skrzy się gwiazdami jak miljonem srebrnych gwoździ, mróz szczypie coraz dotkliwiej w uszy, nos i policzki, para z ust zamarza mi na wąsach, które nikną wkrótce pod grubemi kryształami lodu. Jedziemy przez pola i lasy, drogą to znów naprzełaj, przejeżdżamy zagajniki pokryte grubym puchem, mijamy wsie ciche, w których ani pies szczeknie...

Sanie suną w tej absolutnej ciszy godzinę, dwie... daremnie staram się uchwycić jakiś kształt terenu, szary krąg śniegu wokoło nas, dalej nieprzenikniony mrok i niebo z twardego kryształu, to wszystko... „Gdzie jesteśmy?“ — Ot oziero, panie, Narocz! — Daleko jeszcze do schroniska?

— Musi siedem kilometrów!

Po godzinnej sannie po jeziorze znowu zagłębiliśmy się w zupełną ciemność lasu. Nagły błysk i huk strzału jeden... drugi.. trzeci, brutalnie zniszczyły ciszę ogromem przebiegając po lesie. Koń wspiął się i rzucił w bok, omało nie wypadłem z sań... Stać, bo strzelamy! Ręce w górę! — Forsa jest?... Wysiadać!! Bandyci! Dwóch podeszło bliżej, świecąc mi w oczy latarkami elektrycznemi, kilka ciemnych postaci czaiło się w cieniu... Oślepiony. z rękami podniesionemi, wysiadałem posłusznie z sanek, nadaremnie kombinując jakieś sposoby ratunku; ale myśl o Mauserze zamkniętym w walizce i o żądanej forsie puszczonej beztrosko w Warszawie, mimo grozy położenia rozśmieszyła mnie do tego stopnia, że mimowoli uśmiechnąłem się ponuro...

— Co się śmiejesz? — zaryczał basem jeden z bandytów (widocznie herszt), ale o dziwo, dwu opryszków na dalszym planie roześmiało się również i to śmiechem srebrzystym, wesołym, o wysokim, dźwięcznym tonie... Bandytki, czy co do djabła? — Ale tu już bandyci z bandytkami otoczyli mię kołem i oświetlając się nawzajem zdemaskowali jako znajomi warszawiacy, którzy w ten miły sposób uczcili mój przyjazd nad Narocz; dobrze, że mam serce zdrowe i czuję do zbójników prawdziwą sympatję.

W schronisku doskonale urządzonem, zlikwidowałem kilkoma „większemi z pieprzem“ niezadowolenie furmana z napadu i swój własny przestrach, poczem przemarznięty runąłem na posłanie i chrapnąłem jak bizon.

* * *

— Wstawać zaraz, po śniadaniu chrzciny!

— Czyje chrzciny?

— To się wnet pokaże!!

Wychodzę przed schronisko i przed śniadaniem zakładam deski. Pokazało się, że to moje chrzciny. Jako noworodek wśród Naroczan musiałem się poddać skomplikowanym obrzędom, przechodzić pod bojerem, wysokim na dwadzieścia centymetrów, zja-[redacted]bli, tradycyjnej już chrzcielnicy. Odtąd nad Naroczą noszę miano Gandiego.

Zima nad Naroczą trwała już w pełni swej piękności. Pola i drogi grubo pokryte puszystą pierzyną śniegu, drzewa uginały się pod ciężarem przepysznych białych okiści. Narocz, królowa polskich jezior, rozciągała się bez kresu, jak wielka biała płachta.

Schronisko i przystań żeglarska położone na malowniczym południowym brzegu olbrzymiego (82 km kw.) jeziora, oto nasza baza na trzy tygodnie; małe królestwo zdrowia, humoru, słońca, zimy i sportu. Oglądam uważnie cel naszego przybycia. jachty lodowe, bojery, a najwłaściwiej po polsku ślizgi (nie mylić z ślizgowcami!). Rozczarowałem się z punktu. Dużo słyszałem o fantastycznych szybkościach uzyskiwanych na regatach lodowych w Skandynawji, Niemczech i Stanach Zjednoczonych. Jako pilot przywykłem do form i profilów kroplowych, jak kropla wódki. A tu ślizg poprostu ostatni krzyk... rozpaczy, aerodynamiczny jak paka na węgle albo wanna. Płozy i maszt owszem, ale ten kadłub jak u wozu drabiniastego... I „takie coś“ naprawdę jeździ? — pytam ironicznie. — Nawet fruwa czasem. sam się przekonasz! (Wszyscy Naroczanie są po chrzcinach automatycznie na „ty“).

— Ożaglować Marconiego — dyryguje komendant Wołodia — i dwudziestkę, Gandi weźno się do gafla!

— Do czego? — wietrzę jakieś świństwo.

— No, wybierz mocno pikfał i zaknaguj, cóż się gapisz, jaki masz stopień żeglarski, sternik czy żeglarz?

— Kapitan łodzi podwodnej — walę wściekły, widząc, że wpadłem jak śliwka w kompot na samych żeglarzy-fachowców, którzy mają mnie za chłopca okrętowego.

— A tak, to niechże pan kapitan odkopie ten ślizg z pod śniegu, a potem uprzątnie ślizgawkę, miotła i łopata w stajni! — pada rozkaz, od którego niema apelacji. Dopiero po kilku dniach i wykładach teoretycznych nauczyłem się odróżniać fok i bom od Bim i Boma, rumb i rumpel od rumby i gdy przyjechała ostatnia grupa amatorów nowego sportu, sam byłem dla nich instruktorem.

Ożaglowany ślizg prezentował się korzystniej niż przedtem, przynajmniej przypominał małą prymitywną krypę z prześcieradłem miast żagla.

— Jadę z Gandim na Marconim, on jeszcze nie próbował! Najpierw pchamy, potem skakać do środka! — komenderował Włodek.

Podparł ślizg za rufę, ja za burtę: — Hej siup! — jacht drgnął i pozwolił się prowadzić po zasypanym lodzie. Po paru krokach „chwycił wiatr“ w żagiel i sam lekko się posuwał, jeszcze moment i muszę biec, aby mu nadążyć...

Jacht nabiera rozpędu i sunie po lodzie coraz szybciej, płozy ślizgają się ze szmerem po gładkiej tafli, żagiel wydęty sztywniejе jak blacha, linki i wanty napięte lekko świszczą...

Zdumiony konstatuję, że mkniemy z szybkością ponad 70 km na godzinę, mimo, że wiatr niema więcej jak 30...

— Uwaga! Trzymaj się mocno! — ostrzega sternik i przesuwa rumpel w lewo. Jakaś gwałtowna siła odrzuca mnie od burty i omal nie wyrzuca przez drugą. Knock-out... To przy zwrocie bom tak mnie celnie trafił; gdybym był żeglarzem, wiedziałbym dobrze, jak żagiel reaguje na zmianę kierunku jachtu...

Wracamy, jeszcze parę zwrotów i podjeżdżamy do przystani.

— No, Gandi spróbuj teraz sam szczęścia — proponuje Włodek.

Prawdę mówiąc, miałem małą „cykorję“, [redacted] nie mogłem się do [redacted]łem kilku fachowych rad i przestró[redacted]owiedziałem się, że zwroty należy wykon[redacted]ć przez sztag t. zn. pod wiatr i że należ[redacted]ażać na „nawietrzną“ płozę, no i pop[redacted]u, żeby jacht „wyczuwać“... Ustawiłem [redacted] do półwiatru, popchnąłem kilka metr[redacted] usiadłem przy sterze. Z początku wszy[redacted]szło jak najlepiej: wyczuwałem dobrze [redacted]zystny wiatr i bez trudu utrzymywałem[redacted]ależyty kierunek.. ustawiając ślizg do w[redacted]u, lub „odpadając“ od niego regulowałe[redacted]ęd dowolnie, żagiel „zaknagowany“ przy [redacted]cie brał wiatr całą powierzchnią i ślizg [redacted]ał jak strzała z lekkim szmerem stalowy[redacted]łóz po ośnieżonym lodzie...

Tymczasem oddalił[redacted]się od brzegu ponad kilometr i wyjechałe[redacted] poza osłony zalesionego cypla, który [redacted]bia wiatr w pobliżu przystani. Pęd rośni[redacted]yraźnie, ślizg cały drży i podskakuje n[redacted]ierównościach lodu. Azoty i stalówki ś[redacted]zą coraz głośniej i zjadliwy mroźny wi[redacted]rzewiewa cały mój narciarski strój. Ro[redacted]uję się szybkością (oceniam ją na dobr[redacted]kę) i nadzwyczajną sterownością mojej ż[redacted]wki.

Płozy przebijają [redacted] zaspy śniegowe, wyrywając w górę s[redacted]płaty i bryły śniegu.

Boję się zaryzyko[redacted] zwrotu przy tej szybkości i tylko [redacted]e wypatruję przeszkód przez nawpół [redacted]bione śniegiem okulary, spodziewam si[redacted]e przed przeciwległym brzegiem wiatr [redacted]o ucichnie i jakoś zdołam się wreszcie [redacted]rzymać w tym szalonym wyścigu z wia[redacted]n... Niestety zatrzymałem się znacznie [redacted]śniej i to w bardzo niemiły sposób. Kilk[redacted]zy z trwogą ujrzałem, jak jedna płoza[redacted]lskakuje do góry i zamiast opaść, niesi[redacted]ę ponad śniegiem, jakby fruwała. kołys[redacted]się przytem i falu-



...próbowaliśmy trudnego sportu: jazdy na łyżwach przy pomocy małego żagielka...



...*pierwszy mój start na jeziorze...*



...*a tu pierwszy mój upadek...*

jąc, jak narty dobrego skoczka... Wreszcie podniosła się na dobre pół metra wzwyż, zawisła w próżni nad umykającym lodem, ślizg pochylił się i zachwiał nie tracąc swej szybkości... W ostatnim momencie jak błyskawica olśniła mię myśl: „to właśnie na tę nawietrzną płozę miałem uważać!" i wychyliłem daleko rumpel, aby ustawić się lepiej do wiatru... Zapózno! Mój ślizg z trzaskiem i łopotem obalił się waląc topem o lód, a ja nieszczęśliwy sternik wyrzucony siłą bezwładności, całym ciężarem ciała uderzam o grotmaszt, zaczepiam o saling nogą i koziołkując, ląduję w zaspie o dziesięć kroków od ślizgu.

Ogłuszony i potłuczony podnoszę się i obmacuję zbolałe gnaty, zaspa na szczęście uchroniła mnie od poważniejszej awarji. Oglądam jacht: stalowa wanta nawietrzna pękła, maszt w gnieździe przekrzywiony; staram się podnieść ślizg, ani mowy, za ciężki... Wściekły i zdeprymowany siadam na obalonym maszcie i jak rozbitek oczekuję pomocy.

Wkrótce dostrzegam żagiel, zbliżający się do mnie lotem ptaka, w pełnym pędzie podjeżdża wprost na mnie duża „dwudziestka" (20 m² żagla), już przewiduję karambol i usuwam się... Szum, świst linek, łagodny skręt i już żagiel stoi w „łopocie" dokładnie o trzy metry od mojego „inwalidy", Włodek i dwie pasażerki podbiegają do mnie.

— Nic ci się nie stało? — ogląda Włodek moje siniaki — trudno, każdy raz musi przekonać się, jak łatwo się wywrócić.

Po pierwszej kraksie stałem się już doświadczonym wilkiem lodowym i opanowałem zupełnie prostą zresztą technikę prowadzenia ślizga.

Nastały dni wspaniałych warunków ślizgowych, narciarskich, łyżwiarskich i tanecznych. Całe dnie spędzaliśmy na wycieczkach narciarskich po przepięknych okolicach Naroczy, lub przemierzaliśmy ślizgami olbrzymie jezioro we wszystkich kierunkach. Wieczorami kuligiem na deskach za końmi zajeżdżaliśmy do okolicznych dworów i na zabawy do maleńkiego miasteczka Miadzioł.

Oddawaliśmy się z zapałem jeździe na nartach, na długiej linie za pędzącym jachtem: zwrot na deskach w tempie 70 kil. wymaga nielada odwagi i zimnej krwi, a i tak niezawsze się udaje. Próbowaliśmy dość trudnego sportu: jazdy na łyżwach przy pomocy małego żagielka, trzymanego w rękach za sobą na dwu skrzyżowanych rejkach; jednak wskutek zaśnieżonego lodu wyniki były przeważnie marne.

Pewnego wieczoru wracaliśmy po dziesiątej do schroniska przez gęsty las w błyskotliwych nastrojach, śpiewając łaszywie modnego krakowiaczka:

U nas nad Naroczą
Najładniejsza zima,
A Pim o tem nie wie,
Mamy w nosie Pima!



...*jacht drgnął i pozwolił się prowadzic po zasypanym śniegiem lodzie...*

(PIM w istocie bojkotował naszą zimę kompletnie).

Wynurzamy się z lasu na otwartą przestrzeń i stajemy jak wryci. Jezioro, które opuściliśmy o czwartej, jako białą pustynię, ukazało się nam jako ciemna plama... Silny wiatr zwiał cienką warstwę śniegu i rozwiał liczne zaspy, Narocz wyglądało teraz jak olbrzymia czarna szyba, po której niby jakieś siwe włosy falowały smugi śnieżnego puchu.

Patrzymy po sobie w milczeniu, wszyscy myślą o jednem, ale nikt nie chce ponosić odpowiedzialności za prowokujące hasło. Nieopatrznie jedna z pań wyrwała się:

— Idziemy wreszcie spać, czy nie? Do łóżka, rekordziści!...

Stało się, padło magiczne słowo: „rekord!" Już nie było innej drogi, dziś, albo nigdy. O rekordzie myśleliśmy i mówiliśmy oddawna. Zgraliśmy się w jednej trójce w niezłą załogę i kilkakrotnie próbowaliśmy szczęścia na dystansie 5 km., dochodziliśmy przypuszczalnie do 120, ale zawsze albo ugrzęźliśmy, albo wiatr miał zły kierunek i przy brzegu słabł do tego stopnia, że psuł nam cały wynik. Teraz wiał z zachodu wprost idealnie pod kątem do trasy: schronisko-wyspa.



...*schronisko i przystań żeglarska leżały na malowniczym, południowym brzegu jeziora...*

WSZYSTKIE ZDJĘCIA FOT. ZYGMUNT CZYŻOWSKI — KRAKÓW.

W milczeniu staramy się ożaglować dwudziestkę. Ciężka praca, żagiel wyrywa się i nawet w łopocie gafel lata w obie strony jak szalony i maszt w swem gnieździe przechyla się w stronę rufy.

Ruszyć w ten sposób, to samobójstwo, co do tego niema wątpliwości, zresztą żagiel pójdzie w strzępy, gdy tylko ustawimy się w półwiatr... Decydujemy się na AZM 4 Marconiego, o małej powierzchni żagiel. Starannie regulujemy zegarki, naznaczamy pierwszy start na jedenastą, następny w razie niepowodzenia lub wypadku o pół godziny później i wysyłamy „Kozę" z furmanem i stopperem na metę, aby rozpalili ognisko.

Pani Wanda, znana dziennikarka warszawska, napiera się, by ją zabrać:

— Muszę przecież napisać reportaż z takiej jazdy!

— To niemożliwe, nie możemy cię narażać na ten idjotyzm!

— Jak mnie zostawicie, pojadę sama na dwudziestce...

Musieliśmy ustąpić.

...Za dziesięć minut start, zabezpieczamy się dokładnie przed mrozem, zakładamy na głowy kauczukowe ochraniacze i okulary, grube rękawice na ręce, Wandzię obwiązujemy wprost kocem i baranicą. W oddali obok wyspy błysło wreszcie światło, jeszcze pięć minut, siadam przy sterze, reszta załogi obrusza przymarznięte płozy i popycha ślizg do startu. Żagiel ustawiony teraz wprost na wiatr z hukiem łopota, mały fok nerwowo trzepoce się i grozi urwaniem... Jeszcze trzy minuty... jak się czas wlecze! Stoimy tuż koło startu prostopadle do kierunku trasy. Wypatruję sygnału z wyspy na pół minuty przed jedenastą; nareszcie słaby błysk strzału, spoglądam na zegarek... za pół minuty.

— Uwaga! Dwadzieścia pięć — chwycili za burty i płozownicę — dwadzieścia! — Ślizg drgnął i posunął się. — Piętnaście. — Wykręcamy od wiatru. — Dziesięć! — Żagiel wydął się i szarpnął ślizgiem, chcąc go przewrócić. — Pięć! Trzymać mocno! Cztery, trzy! Nabieramy szybkości. — Dwa! Hop... parę metrów i w pełnym galopie mijamy chorągiewkę startową.

Kilka chwil pędzimy wśród szumu wiatru, w kompletnej ciemności; wytężam wzrok, szukając ogniska i odpadam od wiatru, aby osiągnąć maksymalną szybkość, nie schodząc z kursu.

Nagle ślizg podskoczył, jakby mocno zdołu kopnięty, płoza frunęła w górę, ja zaś otrzymałem piekielny cios w pierś i zostałem do połowy zepchnięty za burtę i tylko kurczowo trzymany rumpel uchronił mnie od upadku. Robię wysiłki, aby doprowadzić ślizg do równowagi, błyskawicznie stawiam go dziobem do wiatru, zwalniamy biegu... wtem z przerażenia zawirowało mi wszystko przed oczami i czuję, że oblewam się zimnym potem... Jezus! Marja! Wanda wyleciała...

(Dokończenie na str. 22)

JAZDA PO REKORD!



(Dokończenie ze str. 20-ej).

Bladzi jak trupy wracamy po naszych śladach; nikt nic nie mówi, przeczuwamy najgorsze... Kilka strasznych minut mija jak całe lata grozy, nareszcie z ulgą niezmierną słyszymy: — Hop! Hop! Tutaj! Pomóżcie mi wstać... To Wanda leży na lodzie, zawinięta w koce jak pakunek, przestraszona, ale cała i zdrowa, stara się uśmiechać, widząc nasze grobowe miny...

— Dość na dziś! — decyduje Włodek — w taką ciemność, to czyste szaleństwo!

— Chyba się boicie — prowokuje „redaktorka" — ja mogę jechać!

Wędrując z Marconim z powrotem, stwierdzamy przyczynę wypadku; to kawałki lodu ze starej przerębli zamarznięte w kształt wypukłego pierścienia podrzuciły płozę w górę. Po naradzie zmieniamy role załogi: ja jako najcięższy muszę iść naprzód, obciążać nawietrzną płozę, najlżejszy z Wandą na rufie.

— Jeszcze siedem minut! O Boże! Chyba nie doczekam się startu. A wicher dmie, przewiewa mnie nieruchomego, skrępowanego na desce do szpiku kości; czuję, że mi ręce drętwieją zupełnie i tracę władzę w palcach, zaciśniętych na stalówce.

— Jeszcze minuta! — Znowu długa męcząca pauza... — Uwaga! Światło na wyspie.

Wiatr targnął grotem jak wściekły, trrrrrach... trzaskało jak serja z karabinu szybkostrzelnego (to fok podarł się na strzępy), Ślizg poderwał się w górę, rąbnął płozą twardo o lód, wkońcu szarpnął się naprzód jak koń spięty ostrogą...

Rozpętała się wichura, jakiej nie wyobrażałem sobie wogóle, napór powietrza był tak silny, że spychał mnie z niczem nieosłoniętego miejsca i z przerażeniem uświadomiłem sobie, że jeśli boleśnie wrzynający mi się w żebra pas pęknie, nie utrzymam się na płozie o własnych siłach.

Drobny śnieżek, snujący się niziutko nad lodem, przy tej szybkości siekł mnie w twarz jak rozpalone druciki; odwracam z najwyższym trudem głowę w kierunku rufy i z rozpaczą czuję, że nie mogę zaczerpnąć powietrza, duszę się w próżni wytworzonej za mną przez szalony pęd.

Podskoki płozy przedłużają się niesamowicie długo i chwilami nie wiem, czy zawieszony w przestrzeni, zajmuję położenie ukośne czy pionowe.

Ślizg miota się w burzliwej nocy, jak opętańcze widmo, unosząc na pokładzie czworo straceńców... Jeszcze jedna przerębel podobna do poprzedniej i z jachtu z załogą pozostanie bezładna mieszanina drewna, płótna, linek i krwawej miazgi ludzkiej.

Wiem dobrze, że jeśli huragan nas przewróci, pas pęknie, a ja wylecę w powietrze wyrzucony jak z katapulty i runę z wysokości na twardą taflę lodu...

Szatańska jazda przeciąga się w nieskończoność, czuję, że jeszcze chwila i stracę zmysły w nieopanowanym strachu; wkońcu przestaję myśleć i zapadam w jakąś głęboką, czarną przepaść...

Reszta wrażeń, to podświadome strzępy niewyraźnych obrazów: błysk ognia, rozdzierający uszy zgrzyt płóz na wirażu, potworny ucisk pasa i nagła, aksamitna cisza, jakgdyby ktoś przekręcił wyłącznik monstrualnego gwiżdżącego odbiornika.

Ktoś mnie odwiązuje, padam bezwładnie na śnieg, ktoś mnie podnosi, rozciera, czuję smak koniaku w ustach...

Rozróżniam wreszcie postacie, w migającem świetle dogasającego ogniska, wszyscy pochyleni nad zegarami machają rękami i podskakują, jak szaleni. Krzyczą coś do mnie, ale mnie w uszach huczy piekło wichury...

Półprzytomny rzucam się w saniach na słomę...

— — — — — — — — —

Rano mi powtórzyli: — Ustanowiliśmy rekord!

Zygmunt Czyżowski.

Życie towarzyskie i artystyczne

POLOWANIE W BIAŁOWIEŻY.



Od chwili, kiedy olbrzymie lasy białowieskie przeszły z posiadania carów rosyjskich na własność państwa polskiego, rokrocznie odbywają się tam jedyne w swoim rodzaju w Europie środkowej polowania, budzące w sferach myśliwych polskich i zagranicznych zrozumiałe zainteresowanie. Przecież puszcza białowieska należy do najbogatszych terenów łowieckich w Europie, posiadających wspaniałe okazy „grubszej zwierzyny". Do znanych entuzjastów polowania w mrocznych lasach należy premjer Goering, jak również wiele osób z dyplomacji świata. — Dzięki Panu Prezydentowi Rzplitej, świetnemu myśliwemu, polowania te posiadają cechy wielkich łowów w dawnej Polsce. Oto dostojny myśliwy (od prawej) w towarzystwie gen. Schally oraz gen. Skotnickiego w lasach Białowieży.

Sergjusz Rachmaninoff grał w Warszawie...



Przed kilku dniami odbyły się dwa koncerty w Filharmonji warszawskiej z udziałem słynnego kompozytora i pianisty rosyjskiego Sergjusza Rachmaninoffa. Jest to dziś bezsprzecznie najlepszy pianista świata, którego uduchowiona gra ściąga na sale koncertowe stolic tłumy publiczności. Występy artysty w Warszawie cieszyły się niemniejszem powodzeniem. Na zdjęciu: Jeden z momentów koncertu — przy fortepianie Rachmaninoff, otoczony członkami orkiestry filharmonicznej.

★ ★ ★

WYSTĘPY KAZIMIERZA SZUBERTA.



Znany z dobrego doboru sztuk „Teatr Nowy" w Poznaniu wzbogacił ostatnio swój repertuar wystawieniem komedji F. Bernauera i F. Osterreichera „Pan Pluskiewka", która odniosła pełny sukces. Ulubieniec publiczności, Kazimierz Szubert, przyczynił się w wysokim stopniu do sukcesu sztuki, zbierając entuzjastyczne oklaski. Na zdjęciu od lewej: pp. Kazimierz Przystański i Kazimierz Szubert w scenie aktu III.

Dzieci szczęścia

Tłumaczenie autoryzowane Julji Rylskiej.

28-ty ODCINEK.

Nagle Vivant zniżył lot i Le Droz krzyknął jej do ucha:

— Cap Juby.

Była to pierwsza warownia hiszpańska na wybrzeżu Atlantyku, już w Rio de Oro. Po niej miało się ukazać Villa Cisneros, druga i zarazem ostatnia placówka białych na całej tej dzikiej przestrzeni.

Wtedy dopiero Robercie powróciło poczucie rzeczywistości, przypomniała sobie, dlaczego przepływa oto ponad tym widmowym światem, tem królestwem pustki, żaru i piękna. Przywarła twarzą do okienka w ścianie aparatu i ona, w której goła i jakby zastygła w obliczu własnej swej grozy pustynia, nie zdołała obudzić trwogi, zlękła się teraz widoku tego osiedla ludzkiego.

Tam, poza murami tej maleńkiej, prostokątnej warowni, zaczynało się Rio de Oro, kraj bezpański, nad którem królowali jedynie: okrutne słońce — wiatr pustynny — i bandy dzikich opryszków, okutanych w niebieskie zasłony.

— Biedny Ramon... — szepnęła, podczas gdy samolot toczył się po ziemi, ku białym, zębatym murom hiszpańskiej cytadeli.

* * *

Robertę i Vivanta zaprosił do siebie pułkownik, dowódca warowni. Le Droz zaś, jako mechanik, korzystał z gościnności personelu powietrznej linji francuskiej Aeropostale. Lecz goście hiszpańskiego komendanta i plątający się między mechanikami dziennikarz, zebrali identyczne te same informacje: tydzień temu zatrzymał się w porcie Cap Juby okręt, płynący z Kadyksu — wyładował żywność i słodką wodę, wiezioną z Wysp Kanaryjskich (warownie w Rio de Oro nie posiadały ani studzien, ani źródeł żadnych) — i pojechał dalej, ku Villa Cisneros. Dziś okręt i zesłańcy, których wiózł, musieli stanąć już na miejscu przeznaczenia.

Nazajutrz o zmroku Roberta, Vivant i Le Droz lądowali już na wyniosłym przylądku, pokrytym czerwonym piaskiem, na którym wznosiły się zasieki, mury i baraki cytadeli Villa Cisneros.

* * *

Wśród maurytańskich robotników, spieszących na spotkanie lądującego samolotu, biegł jakiś Europejczyk, gruby i krępy. Vivant spostrzegł go i zdołał poznać, zanim jeszcze zatrzymał motor. — I zadrżał, najpierw z radości, a potem ze strachu...

— Le Droz, skacz pierwszy na ziemię! — krzyknął. — Zatrzymaj ten tłumok, zanim mnie pozna i runie na mnie. — To jest Ludwik Courdoneau. O Boże! — A to heca dopiero!

J. KESSEL
POWIEŚĆ
ILUSTR. A. ŻMUDA

Le Droz wyskoczył, jak mu kazano i rozłożył ramiona, niby skrzydła parawanu przed mechanikiem.

— Panie Courdoneau, w aparacie jest pani Elven i Vivant. — Proszę pamiętać: n i e z n a i c h p a n ! — Wytłumaczę później.

— Ivan! — wyrwało się z piersi Courdonau i zaczął drżeć cały. — O Boże! Ivan! Ivan!...

— Proszę się opanować! Hiszpanie idą. — Ja jestem ich mechanikiem — pracowałem kiedyś z panem na tej linji — nazywam się Jacques...

— No, wiesz stary! A to ci niespodzianka! — zaczął z miejsca Courdoneau.

A nadbiegli oficerowie z eskadry lotniczej w Villa Cisneros, już pomagali Robercie wysiadać. Le Droz i Courdoneau słyszeli urywane zdania i wykrzykniki.

— Pani! Cóż to za szczęście dla nas...

— Turystyka powietrza... Nie chcę słyszeć o innej!

— Polowanie na grubego zwierza...

— Witamy całem sercem... Taka radość dla nas...

A potem doleciał ich wzgardliwy głos Ivana:

— Hej, wy tam, mechanicy! Żebyście się nie przepracowali przypadkiem! — Jacques, proszę nie pozwalać tym czarnym drabom dotykać czegokolwiek w aparacie! A przedewszystkiem rusz się! Broń trzeba złożyć w bezpieczne miejsce.

— Rozkaz! — odkrzyknął Le Droz.

— Nie! Ten Ivan! — Co za pewność, co za ton! — wyjąkał w zachwycie Courdoneau.

Villa Cisneros tak, jak Cap Juby, był to czworobok, opasany murem blankowym, pociągniętym gaszonem wapnem i opatrzonym strzelnicami. Wewnątrz warowni stał załogą mały garnizon, złożony z żołnierzy, pochodzących z Wysp Kanaryjskich — ciemnoskórych i szerokich w barach. Poza tem, była tam jeszcze eskadra lotnicza, stacja powietrznej francuskiej linji transoceanicznej, Aeropostale i trochę tubylczej służby. Żołnierze mieszkali w kazamatach, drążonych wprost w murze obronnym. Oficerowie zajmowali nowe budynki, wzniesione na obszernym dziedzińcu, a komendant posiadał nawet dom, zdobny w balkony i galerje, dające wcale piękną próbkę stylu kolonjalnego.

Lecz wszystkie te upiększenia nie pozwalały zapominać, że tam, bezpośrednio za murem leży pustynia — przyczajona i cierpliwa, jak drapieżna bestja na czatach... Pustynia i dzieci jej — ludzie, nie znający litości, dla których zasieki z kolczastego drutu, słabą były tylko zaporą... Jakaś tajemna groza, bardziej deprymująca, niż to parne, ciężkie powietrze w twierdzy — wisiała nad maleńką warownią, zamkniętą w sobie i odciętą od świata — wzniesioną tu, jakby poza czasem, poza przestrzenią i poza życiem.

Roberta i Vivant przeszli przez dziedziniec, nużający się już w cieniu zapadającego szybko, tropikalnego zmroku. W dali, na widnokręgu niezmierzonej piaszczystej przestrzeni migotały światełka zapalających się z nadchodzącą nocą ognisk. Wewnątrz warowni odzywał się lękliwy bek kóz w oborach fortu. Chwilami zajęczała przelotnim akordem jakaś gitara. W mroku poruszały się niewyraźne postacie.

Nagle zabrzmiała komenda; usłyszeli zamienione słowa hasła — i patrol, pobrzękując żelaziwem rynsztunku, skierowała się ku bramie cytadeli. Za chwilę w głębi dziedzińca, tam, gdzie w mroku majaczyła biel rozbitych namiotów, padła druga komenda:

— Zesłańcy! Do apelu!

Ivan i Roberta podświadomie zwrócili się w kierunku tego głosu. Oto Ramon był o kilka metrów zaledwie od nich, zakryty cieniami nocy. Ramon, taki niezdolny do zniesienia najmniejszego przymusu — taki piękny — taki dumny! — Był więźniem, numerem tylko! — Był jak zwierzę, zamykane co noc w zagrodę... A oni nie mogli nawet szepnąć mu słowa, uczynić najmniejszego ruchu, którym daliby się poznać więźniowi — rzucić mu zapowiedź rychłego ratunku — zbawienia...

Drżący, wchodzili w podsienia, które wiodły do rezydencji komendanta, majora Guzmana Cabral. Gospodarz oczekiwał ich na progu — wielki, tęgi, a łagodny i wylany, jak uosobienie gościnności samej.

— O pani! — zawołał, ze specyficzną hiszpańską galanterją. — Proszę, niech pani żąda wszystkiego, o czem pani zamarzy! Im bardziej kaprys pani będzie szalony, tem większą rozkoszą dla mnie będzie jego spełnienie! Chcę, aby kamienie tej twierdzy przyswoiły sobie głos pani i zachowały go ku radości uszu naszych!

I powiódł ich w pokoje, pełne chłodu, niby klasztorne komnaty, gdzie

rzeźbione, maurytańskie, miedziane naczynia świeciły złoto na ścianach, a meble z cennego, wypolerowanego drzewa, błyszczały, jakby z metalu czarnego odlane.

Żołnierze wnieśli lekkie pakunki podróżnych, a Guzman Cabral rzekł:

— Proszę się nie śpieszyć. Zasiadamy tu późno do stołu — na hiszpańską modłę.

Znalazłszy się wreszcie sama z Ivanem, Roberta, rzekła doń błagalnie:

— Ivan! — Musimy, m u s i m y go uwolnić!

— Z moim Ludwikiem, jako sprzymierzeńcem — tu na miejscu — to dziecinna zabawka!

Jednakże głos pilota zabrzmiał nie tak czysto, jak zazwyczaj. Wiedzeni tym samym impulsem, podeszli oboje do okratowanego okna i spojrzeli — wbili oczy w jeden punkt, w ten zakątek dziedzińca, kędy wśród innych więźniów - nędzarzy, Ramon de Jasarte uczył się, jak smakuje gorzki chleb niewoli... Lecz ciemność nocy pochłonęła namioty, żadne światełko, ani odgłos najmniejszy nie zdradzały ich istnienia.

Mimo całego wewnętrznego hartu, jaki posiadał, przytłaczająca atmosfera tych murów warownych, tej ciągłej, wytężonej czujności ludzkiej, na straży u wrót pustyni — legła ciężarem na duszy Ivana. Przytulił się nagle do młodej kobiety. I jakby chcąc przeciwstawić tym wrogim, gniotącym siłom jakieś dobre, życzliwe moce, rzekł:

— Zacznij się stroić, Roberto. Musisz być piękną... Tak piękną, żeby zamki i kłódki nawet ustąpiły przed twoim czarem... A ja — poczekaj...

I otworzył pudło gramofonu, który uparł się zabrać z sobą. (Żeby go mieć na tej wyprawie, wyrzekł się jakichkolwiek osobistych bagaży!) Teraz założył nań płytę z shimmy, skupił się chwilę, skoncentrował myśl na wspomnieniu Roya Robinsona — i zaczął tańczyć. Pierwsze kroki stawiał z trudem; lecz zaledwie Roberta zabrała się do szminek i kremów, był już w mocy demona, wyczarowanego magiczną igiełką, z czarnej, połyskliwej, wartko kręcącej się płyty. Zatrzymał się dopiero, kiedy, zlany potem, zdyszany, wyczerpany szalonym ruchem, poczuł się uspokojony wewnętrznie, odrodzony wiarą w siebie i wiarą w ich szczęśliwą gwiazdę.

— Po obiedzie, zatańczę dla nich — oświadczył. — Zrobię kilka salto mortale, odtańczę im pantominę węża-alkoholika — i zobaczysz: ujmę sobie wszystkich strażników Ramona!

Spojrzał na Robertę, gotową już — zmrużył swoje, ściągnięte ku skroniom, powieki i zakonkludował:

— Żal mi tych biedaków! Jesteś zabójczo piękna!

* * *

Za chwilę, kiedy komendant wprowadził ją do pokoju jadalnego, Roberta mogła sama się przekonać, jak dalece Vivant miał słuszność i jak wielką była potęga jej urody. W spojrzeniach młodych oficerów, którzy otoczyli ją kręgiem, wyczytała nieme wyznanie, iż nie było między nimi jednego, któryby zawahał się położyć wszystko na szali dla niej. Była dla nich cudem, zjawiskiem ze świata, który uważali za stracony dla siebie. I nie było cienia zmysłowego pożądania na tych młodych twarzach — w oczach, patrzących w nią, jak w słońce — lecz tak głęboki, taki piękny i wzruszający głód serdecznego ciepła, iż mimo radości, jaką sprawiło jej poczucie tej mocy, jaką dzierżyła nad nimi — (a która tak dobrze mogła posłużyć celowi, dla którego tu przybyli) — młoda kobieta poczuła w głębi duszy jakiś nieokreślony wyrzut sumienia...

Lecz Vivant przywołał ją do porządku:

— Wspaniale tu u panów! — Doprawdy, przyjmuje pan moją narzeczoną, jak królową, komendancie! — zwrócił się do Cabrala.

W istocie nic nie mogło podobać mu się bardziej, jak te ciepłe, przyćmione światła — ten stół, ozdobnie nakryty — ta atmosfera świąteczna — ci młodzi ludzie, pełni życia i gorącego zapału — ich mundury, odznaki — i ta męska przyjaźń, która ich jednoczyła, to znamię wyryte na ich czołach, nad wszystkie inne drogie sercu młodego pilota, a wspólne wszystkim eskadrom na pustyni. Nie zapominał w tej chwili o Ramonie, lecz był całkiem szczery, kiedy zawołał:

— O, jakże dobrze się zabawimy!

I spojrzał wokoło po obecnych. Jak zawsze i wszędzie na swej drodze, napotkał oczy z miłością i wdzięcznością.



...i rozłożył ramiona, niby skrzydła parawanu przed mechanikiem.

wpatrzone w siebie — zarażone radością życia, którą sam promieniał, upojone szałem, którym oddychał.

A Cabral ujął go za ramię i rzekł:

— A może — może zechce pan wyświadczyć nam tę łaskę i zabawić z nami dni kilka? — O ile pani zgodziłaby się też być na dłużej radością tej naszej pustelni...

— Proszę uważać, bo gotowiśmy wziąć pana za słowo, komendancie! — rzekła śmiejąc się Roberta. — Nie znam się wprawdzie zgoła na mechanice, ale mój narzeczony mówi, że motor zaczyna niepokoić go trochę... Na szczęście, mamy doskonałego mechanika ze sobą...

* * *

A w tej samej chwili, na drugim końcu czworoboku twierdzy, w drewnianej szopie, przy hangarach, stanowiącej mieszkanie mechanika stacji francuskiej linji lotniczej. — Courdoneau siedząc na barłogu, służącym mu za posłanie, mówił do Le Droza:

— Pewnie, że potrafię rozkręcić odpowiednio wasz młynek. Nawet największe asy z eskadry hiszpańskiej nie poznają się na tej robocie! Jeszcze pierś mamki ssał smarkacz, jeden z drugim, kiedy ja potrafiłem już robić co mi się żywnie podobało z motorami! Szepnę tylko słówko waszemu samowarowi — a zobaczycie! — Niech sobie pan o to głowy nie psuje, panie Le Droz. Szczęście wasze, że się tu akurat znalazłem — bo, z przeproszeniem pana, taki z pana mechanik — jak ze mnie kanarek!

I zaśmiał się szeroko.

* * *

Komendant Cabral poprosił Robertę, by zasiadła naprzeciw niego przy stole, oświadczając, że jest panią i królową cytadeli. Ivana posadzono obok dowódcy eskadry lotniczej, który biegle mówił po francusku.

— Proszę darować skromność naszego obiadu — odezwał się komendant. — I zobaczycie państwo, że to, co mówię, nie jest czczą formułą zdawkowej pokory. Nie możemy teraz zajmować się dużo naszą kuchnią — zesłańcy zabierają nam wszystek czas.

— Jacy zesłańcy? — zapytała najnaturalniej w świecie Roberta.

— O, przepraszam panią! Żyjemy tu zajęci tak wyłącznie służbą i zdani tak zupełnie na siebie samych, że nie przyszło mi na myśl, iż ktoś może nie wiedzieć... W kilku słowach objaśnię panią: dostaliśmy transport zesłańców. Monarchiści... Zawiadomiono nas, w ostatniej chwili dopiero, o ich przybyciu. Nie mieliśmy czasu przygotować pomieszczenia, ani pościeli, ani żywności dla nich. Jeszcze dobrze, że okręt, który ich przywiózł, nabrał na Wyspach Kanaryjskich słodkiej wody. Bo inaczej — nie wiem doprawdy...

— Biedacy! — szepnęła Roberta.

— O, tak, biedacy! — powtórzył z przekonaniem Cabral. — Dla nas już, Villa Cisneros, to niewesoły pobyt... Dla nich, musi to być...

Urwał. Szerokie ramiona opadły mu beznadziejnym ruchem, po chwili zaczął znów:

— Ot, polityka... Robimy, co możemy, żeby im urządzić jakotako życie. — Innych kłopotów nie powinniśmy mieć z nimi. Bo co do pilnowania ich... to już pustynia bierze na siebie... Lepiej to potrafi, niż najostrzejsze straże! Dała już nawet dowody...

— Co pan chce przez to powiedzieć, komendancie — pytała dalej. — Jestem strasznie niedyskretna, ale te historje z pustyni mają w sobie coś tak porywającego — tak romantycznego...

(Ciąg dalszy nastąpi).

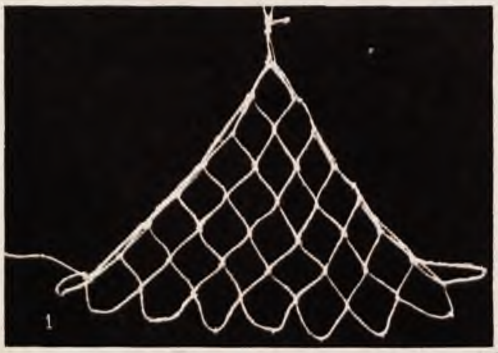
NA DESKACH „CASINO DE PARIS"
Mlle. Sherry Haas. — Fot. Dorvyne, Paryż. →



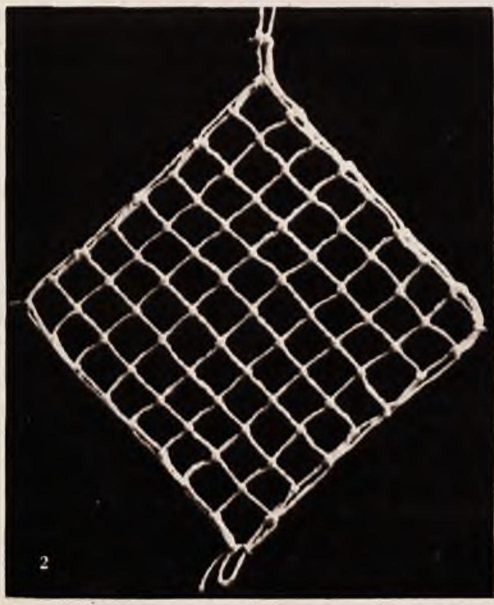


M. M. DUDREWICZOWA

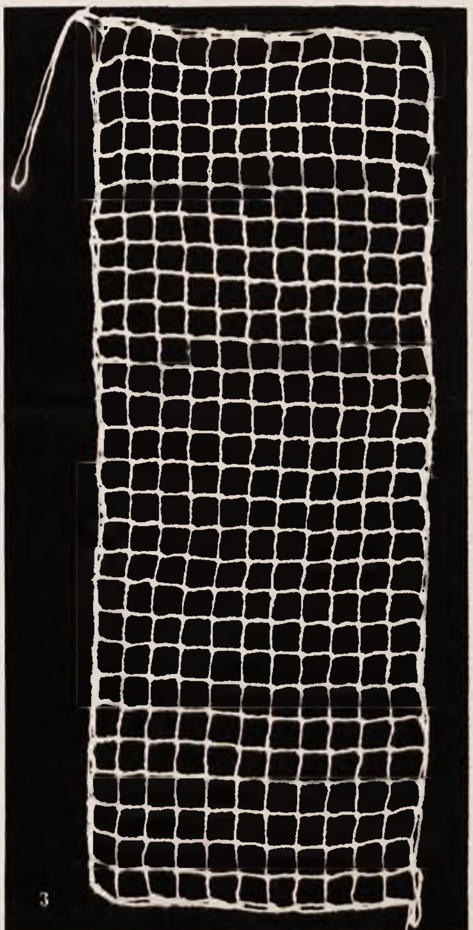
KORONKI SIATKOWE (FILET) CZĘŚĆ II.



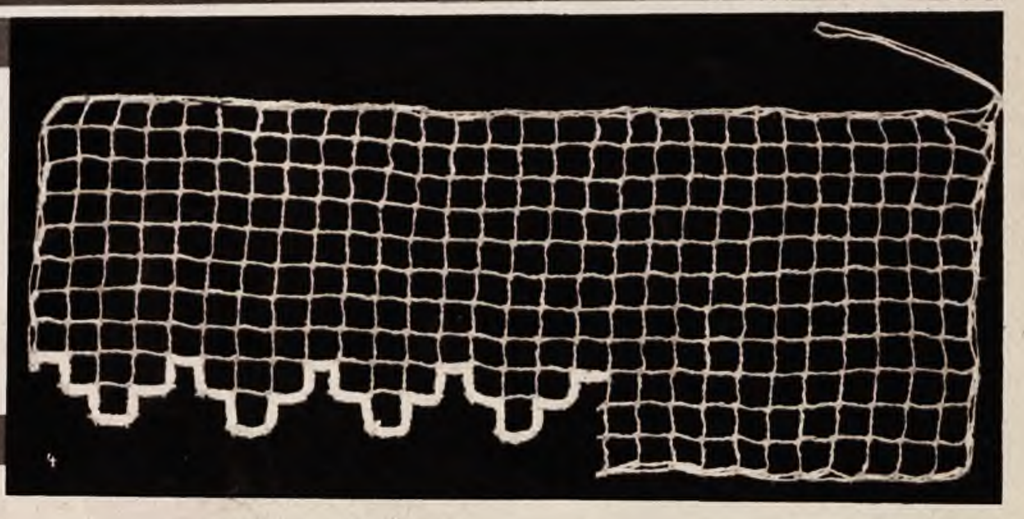
Ryc. 1. Rozpoczęta robota siatkowa.



Ryc. 2. Kwadrat siatkowy.



Ryc. 3. Wstawka siatkowa.



Ryc. 4. Dziergane ząbki na siatce.

W pierwszym artykule poznałyśmy sposób wiązania węzełka, czyli podstawową umiejętność w technice siatkowej.

Po skończeniu pierwszego oczka wyciągamy z niego wałeczek. Następnie w tem jednem małem oczku robię dwa oczka tą samą metodą, którą opisałam w poprzednim numerze „Asa" i znów wyciągam wałeczek. Widzimy więc, że po zrobieniu pierwszego oczka siatkowego, nie używamy już więcej tego dużego kółka na cegle, tylko wkładamy iglicę wprost od dołu w otwór między trzecim palcem a wałeczkiem i równocześnie od dołu do oczka już zrobionego poprzednio według objętości wałeczka. Gdy drugi rządek gotowy, wyciągamy znowu wałeczek.

Siateczkę odwracam od prawej ku lewej ręce i tutaj zaczynam siatkować trzeci rządek od maleńkiego oczka dodanego na końcu poprzedniego rządka. Pamiętać należy, że w ostatniem oczku na prawo robi się 2 oczka, to znaczy, że jedno oczko na końcu zawsze dodajemy.

Teraz wyjmujemy wałeczek, odwracamy znów siateczkę na lewo i zaczynamy czwarty rządek od maleńkiego oczka dodanego na końcu trzeciego rządka. Tym sposobem powstaje trójkąt siatkowy coraz szerszy u podstawy. (Ryc. nr. 1).

Z lewego boku przy zaczynaniu nowego rządka nigdy się nie dodaje, tylko zaczyna się siatkować od małego oczka.

Każdego razu po ukończeniu rządka z dodaniem oczka i po wyciągnięciu wałeczka, musi być siateczka odwrócona ku lewej ręce.

KWADRAT SIATKOWY (ryc. nr. 2).

Chcąc otrzymać kwadrat siatkowy na 8 oczek, zaczynam siatkę jak zwykle od jednego oczka. Z prawej strony na końcu każdego rządka dodajemy po jednem oczku, aż naliczymy z boku na



Ryc. 5. Wzór siatkowy na środkowy motyw serwetki, której szlak zewnętrzny przedstawia ryc. 7.



Ryc. 6. Stylizowana róża w technice siatkowej.

trójkącie z prawej strony 7 oczek prócz małego dodanego, a więc razem będzie 8 oczek. Wtedy ósmy rząd robimy bez dodania na końcu małego oczka, a w dziewiątym rzędzie na końcu z prawego boku zamiast dodawać, ujmujemy, to znaczy wkładamy iglicę od dołu odrazu w dwa ostatnie oczka. Przewracamy potem siatkę, jak zwykle ku lewej ręce, a siatkując ujmujemy znów na końcu rządka, to jest robimy z dwóch ostatnich oczek jedno. W ten sposób siatkujemy dopóty, dopóki nie zostanie na wałeczku jedno oczko i mamy kwadrat gotowy.

WSTAWKA SIATKOWA (ryc. nr. 3).

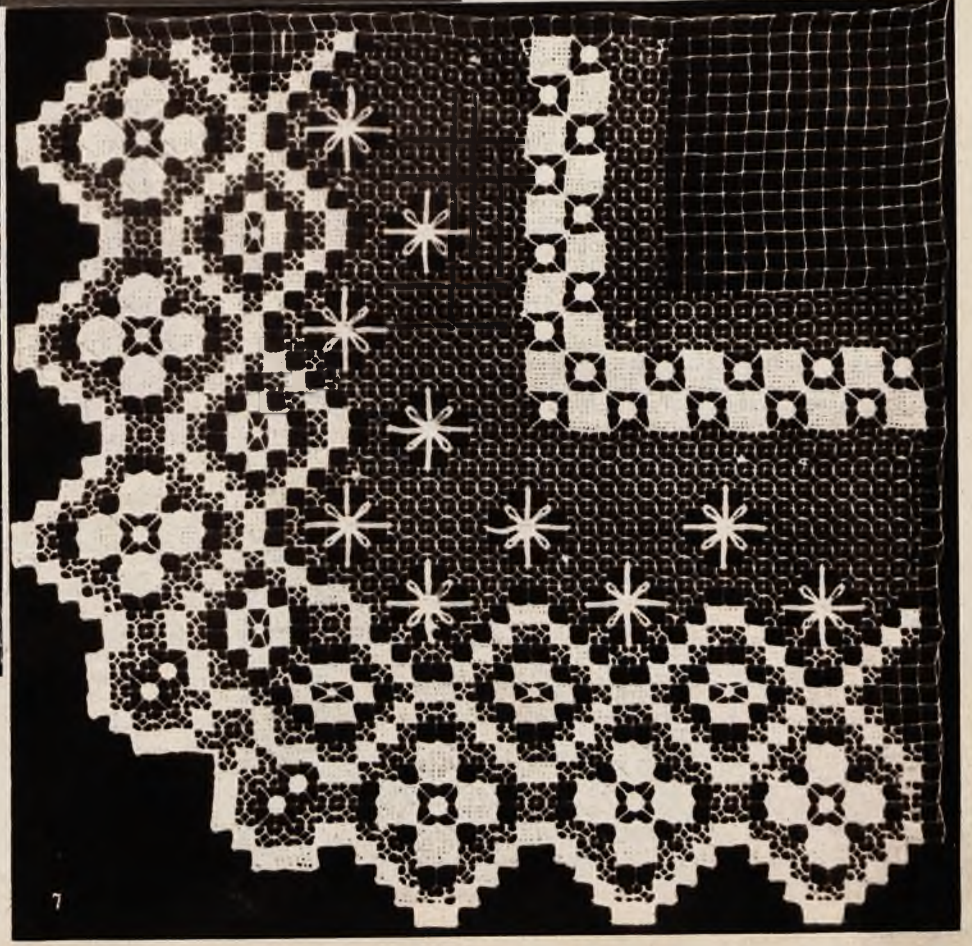
Siatka na wstawkę lub koronkę robi się tak samo. Siatkujemy kształt prostokąta, czyli kształt długiego pasa. Jeżeli zaś na tym pasie chcemy wyszyć koronkę, to na dole pod wzorem dziergamy zęby małe, płytkie, lub duże głębokie. Zęby takie widzimy wydziergane na wstawce ryc. nr. 4.

Resztę oczek, obok dziergania na dole, obcinamy, bo węzły siatkowe są silnie zawęźlone i nie prują się nigdy. Nitka w kratce przerwie się po dłuższem użyciu i praniu, ale węzeł sam nie rozwiąże się. Uważać należy przy dzierganiu zębów, by dzierganie w kątach kwadracika nie zaginało się, tylko prosto leżało.

Przy robocie wstawki postępuje się w ten sposób: Zaczynam siatkować jak zwykle od jednego oczka. Na końcu każdego rządka dodaję po jednem oczku, aż naliczę tyle oczek na boku prawym, na ile chcemy mieć szeroką wstawkę, czy koronkę np. na 11 oczek, a dodane oczko będzie dwunaste. W następnym rządku na końcu odejmuję, tj. robię z dwóch oczek jedno. Ale zaraz w następnym znowu rządku dodaję, tj. robię na końcu o jedno oczko więcej, a jeszcze w następnym znów odejmuję. I tak naprzemian raz dodaję, a raz odejmuję, ale zawsze tylko na końcu rządka z prawej strony siatkowania. Po zrobieniu kilku rzędów widzimy, że formuje się wstawka. Praktycznie jest, by się nie pomylić kiedy dodawać, a kiedy ujmować, zaznaczyć sobie jakąś kolorową nitką ten bok, gdzie chcemy naprzykład tylko dodawać.

(C. d. n.).

Ryc. 7. Koronka do serwetki, której motyw środkowy przedstawia ryc. 5.





SPORTING — FLIRT



W GARMISCH-PARTENKIRCHEN

Oile zgodzić się można, że Garmisch-Partenkirchen to niemiecki odpowiednik naszego Zakopanego to porównanie to będzie szwankowało pod jednym względem a mianowicie na punkcie przedstawicielek płci pięknej. Stanowczo w Garmisch są one w olbrzymiej mniejszości i ustępują miejsca silniejszej połowie ludzkości. Fakt ten jest oczywistym nietylko pod względem liczebności, ale także i pod względem żywotności. Niemieckie panie jakoś zbyt chętnie ustępują pierwszego miejsca „władcom świata" i usuwają się w cień, choć na nartach lub na torze lodowym górują nad nimi o wiele, wiele klas. Ale to już taka natura kobiety niemieckiej.



Rewja urody i wdzięku na stadjonie lodowym w Garmisch-Partenkirchen...

Nastrój Garmisch-Partenkirchen jest bardzo mało nastawiony na ton „amoroso". Króluje tu przedewszystkiem sport a wieczorem, gdy nawet zdobędzie się człowiek na wciągnięcie na spracowane plecy fraka czy smokinga, to ochoty do t. zw. zabawy towarzyskiej jest niewiele. O ileż wygodniej siąść sobie w kątku i pociągając z kielicha wypełnionego doskonałem winem mozelskiem czy reńskiem, słuchać tonów muzyki!



Powyżej: Zmęczenie po biegach nie sprzyja flirtowi...

Na prawo: Wieczorem przy dźwiękach namiętnego tanga.

Poniżej: Sonja Henie zawzięcie flirtuje ze swym kolegą Anglikiem Sharpem.





A propos muzyka! Gdy pojawiliśmy się na sali Alpenhofu — powitano nas dźwiękami melodji słynnych „Bubliczek". Gdy powiedzieliśmy orkiestrze, że przecież melodja ta jest oparta o motywy rosyjskie, powiedziano nam, że autorem jej jest Polak, a więc uchodzi tu za melodję polską. I koniec!



W kole: Słynna Kanadyjka, Diana Gordon-Lennox, która jechała w slalomie ze złamaną ręką i monoklem w oku...

Gdzie jak gdzie, ale sama piękność w Garmisch nie wystarcza. Do pięknych rysów trzeba koniecznie dodać nieco sprężystości sportowej, jeśli się chce mieć naprawdę wielkie powodzenie. Pod tym względem bezkonkurencyjną jest mistrzyni łyżew — Sonja Henie. Łączy ona w sobie urok pięknej kobiety i doskonałej sportswoman. Oczywiście jej powodzenie jest rekordowe i każde jej pokazanie się w Alpenhofie daje asumpt jej licznym wielbicielom do walki o pierwsze miejsce w sercu pięknej Norweżki.

Ale mistrzyni świata nie myśli o flircie. Wprawdzie tam coś nie coś przebąkują o rosłym i sprawnym hokeiście niemieckim, który podobno podbił nietylko serca dziesięciu tysięcy swych rodaczek, ale także potrafił się wkraść w łaski Sonji, ale tak naprawdę, to nic nie wiadomo. Jak zresztą można myśleć o miłości, jeśli się jest na tak eksponowanem stanowisku, jak Sonja Henie! Przedewszystkiem więc posiadanie tytułu mistrzyni świata obowiązuje. Trzeba dzień w dzień odrabiać swoje pensum, aby nie wyjść z wprawy i nie dać zdystansować się tym wielu o ileż młodszym konkurentkom. Trzeba także wcześnie chodzić spać i uważać na djetę, a wszystkie te rzeczy odbierają ochotę do zabawy.

I tak jest także z innymi mistrzyniami. Są one trudne do zobaczenia i wolą chować się po kątach. Taka np. Christl Cranz, mistrzyni w narciarstwie wogóle nie udziela się na dancingach. Jest to typ kobiety niemieckiej, przepełnionej poczuciem donioslości roli dzisiejszych Niemiec i przejętej obowiązkami społecznemi. Gdzie takiej w głowie dancing albo niewinny flirt?

Trzeba przyznać, że takie zbliżenie się do jakiejkolwiek mistrzyni jest specjalnie trudne dla mężczyzny. Bo proszę sobie wyobrazić, że przy dźwiękach tanga czy slow-foxa, zamiast wyznania miłosnego usłyszy się dyskretne pytanie: a jak długo pan zjeżdża z Kreuzeck? Nie można powiedzieć, że w 5 minut, bo zaraz się wyda, że to nieprawda, a jeśli nawet ktoś w taką historyjkę uwierzy, to zaraz nastąpi kompromitacja. Taka mistrzyni powie: „no to świetnie, jutro rano zjedziemy razem, chcę zobaczyć, jak pan to robi, bo ja jadę 8 minut". I na drugi dzień okaże się, że świetny danser i causeur zjeżdża trasę 45 minut! Potem szkoda się pokazywać na oczy wielkiej sławie europejskiej.

Tak, tak, flirt z mistrzyniami nie jest zbyt bezpieczny.

Powiadają, że kobiety są słabsze od mężczyzn, ale znam wypadki, w których wytrzymałość, upór i zacięcie kobiety przechodzą wszelkie pojęcie. Taka np. Diana Gordon Lennox. Mimo klasycznego imienia jest typem bardzo nowoczesnej kobiety. Przedewszystkiem monokl. Wogóle kobieta w monoklu, a przytem w monoklu na nartach! Wrażenie niesamowite. A przytem złamała rękę. Tak jest, dosłownie złamała lewą rękę, którą nosi na temblaku. Ale mimo to jeździła na nartach dalej i startowała nawet w biegu zjazdowym, w którym zajęła nieostatnie miejsce i przejechała trasę bez upadku. No a potem trzeba ją było widzieć wieczorem w barze, gdzie przy ginie i coictailach nie dawała się wyprzedzić wielu mężczyznom. Czyż można się dziwić, że Diana była najpopularniejszą kobietą zawodów i wszystkie czasopisma i dzienniki niemieckie podawały jej fotografje?

Poniżej: Grupa zawodniczek, które brały udział w jeździe figurowej na lodzie w Garmisch-Partenkirchen.



Bardzo energicznym typem była także baronówna holenderska o dźwięcznym, choć nieco przydługiem nazwisku Schimmelpenninck van der Oye. I ona jeździła, jak szatan na nartach, a wieczorem, ustrojona w modną choć niebardzo efektowną suknię balową, tańczyła na parkiecie Alpenhofu.



Córy słonecznej Italji nie rezygnowały nawet podczas biegów ze szminki i pudru...



Że przedstawicielki Anglosasów i Germanów imponowały zaciętością, to jeszcze nic dziwnego, ale Hiszpanki! Czy wogóle można sobie wyobrazić Hiszpankę inaczej jak w pięknym narodowym stroju, w blaskach południowego słońca na corridzie? Prawda, że nie. Ale w Garmisch były Hiszpanki ustrojone w ciemne narciarskie mundury i zjeżdżające znaną trasę Neunerstrecke w konkurencji olimpijskiej. Biedne to były dziewczęta. Część drogi odbyły, jak powiada jeden z moich znajomych, na brwiach, ale kiedy jednej z nich mocno sfatygowanej licznymi upadkami (proszę bez przenośni, naprawdę upadkami na twardy, bezlitośnie ubity na beton śnieg) proponowano zwiezienie na toboganie Pogotowia ratunkowego, zaprotestowała energicznie, wyrwała się z rąk „łapiduchów" i z westchnieniem potępieńca udającego się do piekła ruszyła dalej w białą otchłań. Nazwisko tej pani? Proszę bardzo. Brzmi ono równie dźwięcznie, jak każdej innej Hiszpanki i nie pozwala wątpić o jej południowem pochodzeniu: Baenza de Herreros.



Mistrzyni Czechosłowacji Vera Hruba należała do tych zawodniczek, które cieszyły się największem powodzeniem u płci brzydkiej.



Włoski patrol wojskowy bywał często „niepokojony" przez płeć piękną...

Swoją drogą bardzo oryginalnie wygląda na mecie kobieta, biorąca udział w biegu zjazdowym. Bo na starcie to piękny obrazek, ale po długich czterech kilometrach piekielnej jazdy, róż na buzi jest już bardzo nierównomiernie roztarty, a piękne czernidło brwi i rzęs tworzy mało malownicze plamy pod oczami, niejednokrotnie zapuchniętemi od płaczu. Bo hart hartem, ale jeśli się boleśnie kropnie o twardą lodową powłokę trasy, to w oczach mimowoli staną bardzo kobiece i mało hartowne, zwyczajne ludzkie łzy.

(Dokończenie na str. 31).

PRZEPISY

odnoszące się do naszego kalendarzyka – obliczone na 3—4 osoby.

ZRAZIKI NA ROSOLE. Pożywne i łatwo strawne danie dla ozdrowieńców lub osób o słabym żołądku sporządza się w następujący sposób: z kości cielęcych i jarzyn gotuje się rosół. W międzyczasie przemieła się kawałek cielęciny (10 do 15 dkg) parę razy, dodaje szczyptę soli i nie więcej, formuje małe płaskie sznycelki. Osobno ubija się małe jajko z łyżeczką grysiku i odrobiną soli. Odlany z kości i jarzyn rosół zagotowuje się, wkłada do niego sznycelki i gotuje przez pół godziny, potem wlewa się przygotowane jajko z grysikiem i gotuje dalsze 8—10 minut. Uważać należy, aby rosołu nie zostało więcej niż kilka łyżek. Duże porcje odbierają chorym apetyt.

SAŁATA ŚLEDZIOWA A LA COURMET. 3 śledzie mleczaki moczy się przez 18 godzin w często zmienianej wodzie, następnie obciąga ze skórki, wyjmuje ość grzbietową i wkłada jeszcze na godzinę do surowego mleka, poczem kraje się je w zgrabne kawałki, układa na salaterce i pokrywa następującym sosem: mleczka przeciera się przez sitko wraz z dwoma sardynkami, następnie uciera z oliwą z pod sardynek, dodaje małą utartą na tarce cebulkę, 1 dobre drobno siekane jabłko, 3 dkg sparzonych, ołupanych i zmielonych migdałów, łyżkę dobrego octu, szczyptę cukru i białego pieprzu. Sos ma być dobrze gęsty. Salaterkę przybiera się plasterkami cytryny, kawiorem, wędzonym łososiem, sardelkami i t. p.

SAŁATA SZWAJCARSKA. ½ kg sałatowej fasolki zamoczyć przez noc w wodzie i następnie ugotować, aby się nie rozpadła. Po odlaniu z wody soli się i pieprzy fasolkę i odstawia do ostudzenia. Utartą na tarle cebulkę oraz ząbek roztartego czosnku zalewa się 3/10 l winnego octu i pozostawia równocześnie z fasolką przez noc do naciągnięcia. 2 żółtka i 1/4 l oliwy uciera się na gęsty majonez i rozprowadza go poprzednio wymienionym octem przecedzonym przez sitko. Do fasolki dodaje się pół kilograma duszonej pieczeni wołowej, pokrajanej w kostkę, miesza z przygotowanym sosem majonezowym, sprawdza smak i dodaje w razie potrzeby troszkę soli i cukru względnie octu.

FILETY RYBIE W CIEŚCIE. Sandacza lub inną białą rybę, (może być też morską), dzieli się po oczyszczeniu z ości na filety, ubija je, soli i pieprzy, macza w poniżej podanem cieście i smaży w mieszanym tłuszczu na rumiano. Ciasto ubija się z 2 jaj, szklaneczki wina, 2 łyżek oliwy, soli i takiej ilości mąki, aby się utworzyło dość gęste ciasto. Do potrawy tej dodaje się **sos remuladowy** lub **tatarski**. Przepis na sos: Małą szklankę rosołu, nagotowanego z nóżki cielęcej, ostudza się, ubija następnie spiralką od bicia piany z 2 żółtkami, 2 łyżkami oliwy, 2 łyżkami octu winnego, wstawia do naczynia z gorącą wodą i ubija na parze aż zgęstnieje, następnie mieszając, dodaje się łyżkę francuskiej musztardy, 4 dkg siekanych kaparów, 4 dkg kawioru (może być czerwony), szczyptę białego pieprzu i cukru. Przed podaniem zastudza się sos na lodzie.

WĄTRÓBKA Z RYŻEM I BRUKSELKĄ. 20 dkg, t. j. filiżankę ryżu parzy się, odlewa, dodaje łyżkę masła i praży przez chwilę na ogniu. Następnie dolewa się dwie i pół filiżanki gorącej wody, dodaje soli i kilka ziarn pieprzu oraz małą cebulkę w całości (po ugotowaniu odrzuca się ją) i gotuje ryż na sypko. 2—3 wątróbek gęsich, lub kawałek cielęciny, kraje się w plastry i osmaża szybko na maśle. Osobno gotuje się 25 dkg brukselki w słonej wodzie. Natarty masłem i wysypany bułeczką rondelek wykłada się ryżem tak, aby spód i boki były pokryte. Do środka daje się wątróbki i polaną masłem z pod wątróbki brukselkę, pokrywa resztą ryżu, polewa masłem i gotuje na parze 30—40 minut. Po wydaniu na półmisek posypuje się potrawę suto parmezanem. W miejsce wątróbek można też użyć małe zraziki cielęce.

RYBA Z WODY Z MASŁEM. 1/4 kg lina, łyżeczkę masła, smak z włoszczyzny i sól do smaku. Rybę w smaku z włoszczyzny ostrożnie ugotować, tak, aby się nie rozleciała. Wyjąć na talerz w całości, masło rozpuścić i polać niem rybę.

JAJA Z SARDELKAMI. Małe foremki porcelanowe wysmarować masłem sardelowem, na spód włożyć drobno pokrajaną sardelkę, na to wybić ostrożnie jajko. Foremki wstawia się w płaskiem naczyniu z gorącą wodą i wstawia na 5—8 minut do gorącego piecyka, w którym to czasie jaja powinny się ściąć w foremkach. Wyłożone na środek półmiska otacza się je smażonemi ziemniaczkami.

POMME DE TERRE SAVOYARD. 1 kg podłużnych ziemniaków ołupanych i wymytych kraje się w plastry, posypuje solą i pieprzem i układa wieńcowo w dużym, masłem natartym rondlu. Każdą warstwę polewa się masłem i posypuje parmezanem. Szczelnie przykryty rondel wstawia się do gorącego piecyka. Po upieczeniu wykłada się krąg ziemniaków na półmisek i daje w środek inną przygotowaną potrawę, np. powyżej podane jaja z sardelkami.

Sc. Ko.

NOWOŚCI KUCHENNE



Klucz do otwierania puszki z sardynkami zmodernizował się. Składa się z dwóch części, z których jedna służy do otwierania puszki a druga, w formie zgrabnej łopateczki, do wyjmowania sardynek z puszki. Szeroka płaszczyzna łopatki pozwala na wydobycie całej rybki bez naruszenia.

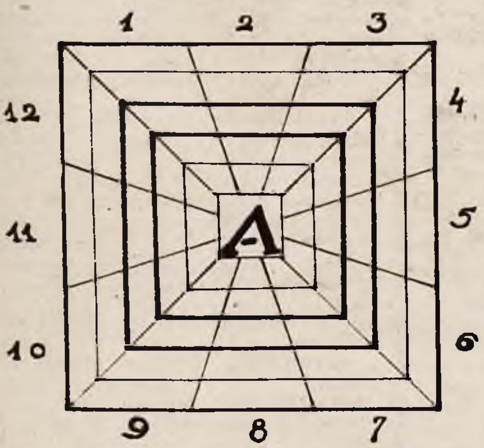
7 ✦ DNI ✦ DOBREJ ✦ GOSPODYNI.

Z dwóch głównych dań obiadu jedno może być w skromniejszych gospodarstwach opuszczone

Święta rzym.-kat.	Tydzień 10 **Marzec** Dni 31
Niedziela **1** Albina bisk.	Zupa pieczarkowa. Wątróbka z brukselką w ryżu. Rozbef z jarzynami. Kompot mieszany z konserw. Legomina biszkoptowa z szodonem. Kolacja: Zimny ozór z sałatką.
Poniedziałek **2** Symplicjusza	Zupa grochowa z grzankami. Omlet z jarzyną. Pieczeń barania z sosem pomidorowym i ryżem. Strudel z jabłkami. Kolacja: Kotlety z suszonych grzybów.
Wtorek **3** Kunegundy p.	Zupa grzybowa z płatkami. Salsefja w cieście z purée ziemniaczanem. Wieprzowe kotle ty naturalne z czerwoną kapustą. Tort mako wy. Kolacja: Omlety z szynką.
Środa **4** Kazimierza † S. d.	Rosół z drobiu. Brukselka z masłem. Kura z rosołu z sałatą z surowej kwaśnej kapusty. Legomina czekoladowa. Kolacja: Sałata szwajcarska.
Czwartek **5** Fryderyka op.	Zupa ziemniaczana czysta. Jarmuż lub szpinak z jajami. Sztufada z pieczeni cielęcej z ziemniaczkami. Kompot z jabłek i śliwek z kruchemi ciastkami. Kolacja: Jaja z sardelkami.
Piątek **6** Kolety p. † S. dn.	Zupa neapolitańska. Fasolka na kwaśno z krokietkami z ziemniaczków. Filety rybie w cieście z sosem tatarskim. Pierożki drożdżowe z konfiturami - gotowane. Kolacja: Sałata śledziowa à la gourmet.
Sobota **7** Tomasza † S. dn.	Barszcz z uszkami lub pasztecikami mięsnemi. Włoska kapusta w cieście smażona. Pieczeń wołowa na dziko z makaronem. Crème brulée. Kolacja: Wędzone ryby, chleb z masłem.

Logogryf

Ułoż. Włodzimierz Kozak, Lwów.



W powyższą figurę należy wpisać dośrodkowo dwanaście wyrazów, przyczem słowa kończą się na wspólną literę „a". Trzeci rząd (grubo zakreślony) da imię i nazwisko polskiego powieściopisarza. Znaczenie wyrazów jest następujące: 1) wymiana zdań, 2) mowa szydercza, 3) imię żeńskie, 4) wypoczynek, 5) inaczej wieża, 6) miasto w Rosji, 7) najwyższe bóstwo Hindusów, 8) spadająca masa śniegu, 9) inaczej orkiestra, 10) inaczej część, udział, 11) inaczej nauka, badanie, 12) kompas morski.

HOCKI-KLOCKI

Rozwiązanie zagadki literowej z nru 8-go „Asa"

Zawody czterech panów, których bilety wizytowe podaliśmy, są: krupier, mechanik, komornik, stangret.

TEATR A ŻYCIE.

Aktor: — Jestem komikiem.
Dyrektor: — Czy jest pan żonaty?
Aktor: — Tak.
Dyrektor: — Eh, co tam z pana za aktor! Komik i żonaty!

PRAKTYCZNY OJCIEC.



— Jakto, Kuba, ty się bawisz żołnierzami? ***Ja w twoim wieku już dawno bawiłem się spekulacjami na baissie!***

(Dokończenie ze str. 12).

żeli się okaże, że jest szpiegiem. Niech się dzieje co chce, ale niech biedak pozostanie jeszcze kilka dni na wolności. W myśli przygotowała ewentualną obronę przed szefem. Zdawało się jej, że słyszy jego niski głos: — „Dziękuję pani za współpracę, ale nam potrzeba ludzi silnych"... Spazm chwycił ją za gardło. Czuła, że postępuje źle...

Wyminęła obojętnie Jerzego.

Pięć po dziesiątej... Dziesięć... Nikt nie nadchodzi. Ewa jest zupełnie złamana. W tej chwili ujrzała Reeda. Szedł uśmiechnięty, lekko kołysząc małą teczką, którą trzymał w ręku.

Ewa wróciła natychmiast do swojej roli. Niedbale kołysząc się w biodrach, szła ku niemu, posyłając mu najpiękniejszy ze swych uśmiechów.

Mr. Reed obrzucił ją spojrzeniem znawcy. Ewa otarła się lekko o niego i zawróciła. Mr. Reed jak urzeczony zawrócił za nią.

Ewa szła naprzód, nie odwracając się. Czuła palący wzrok Reeda na sobie.

Nareszcie brama... Weszła do klatki schodowej, zbadanej uprzednio. Dysząc ciężko szedł za nią Reed. Ewa pchnęła drzwi i weszła do nieoświetlonego przedpokoju. M. Reed zatrzasnął za sobą drzwi. Zwierzyna znalazła się w potrzasku.

Nagle zajaśniało światło, które oślepiło na chwilę dziewczynę. Gdy otworzyła oczy, szpieg był otoczony ze wszystkich stron. Z dziką nienawiścią patrzał na Ewę. Nagle wyrwał się trzymającym go agentom. Porwał statuetkę z bronzu, stojącą na stoliku i... nim ktokolwiek zdołał mu przeszkodzić, z rozmachem rzucił nią w kierunku Ewy.

Ogarnęła ją noc. Czuła, że leci w przepaść.

Gdy się ocknęła, ujrzała przed sobą zatroskaną twarz Jerzego.

— Gdzie ja jestem? Skąd ty znalazłeś się przy mnie? — zapytała słabo.

— Odzyskała przytomność! — zawołał radośnie Jerzy do kogoś w drugim pokoju.

— Co pan tu robi? — powtórzyła pytanie.

— Ewo, wybacz mi! Miałem cię pilnować, chronić, a tymczasem... pozwoliłem cię zranić temu łotrowi.

— Jakto? Nie rozumiem. Ty mnie... bronić?...

— Szef przydzielił mnie do twojej ochrony, miała to być moja pierwsza praca. Ładnie się spisałem!

— Nie szkodzi — uśmiechnęła się słodko. — Ja się gorzej zblamowałam za pierwszym razem, opowiem ci kiedyś. Jak to dobrze, że nie jesteś tym L-17, Georgie!

— Ewo, myślałaś, że ja nim jestem? Kochanie, nie gniewasz się?

— Nawet bardzo... — odparła, patrząc mu czule w oczy.

(Dokończenie ze str. 29).

Inna atmosfera panuje na lodowisku, gdzie popisują się piękne dziewczęta w jeździe figurowej na lodzie. Inne kostjumy pozwalają na podziwianie nietylko wysokiej klasy sportowej, ale także bardziej zrozumiałych dla laika wdzięków kobiecych. Kostjumy łyżwiarek są bardzo ryzykowne, ale to jest prosta konieczność. Inaczej nie dałoby się przecież uzyskać tych wspaniałych ewolucyj tanecznych. I dobór kostjumu jest niesłychanie ważny. Czeszka Metznerowa tańczy nieźle, ale zbyt długa, podobna do nocnej koszuli suknia, niedbale zaondulowana fryzura robią swoje. Publiczność nie patrzy się na tor, a sędziowie mimowoli muszą stawiać niższe noty. Bo proszę państwa sędzia to też człowiek i... mężczyzna!

Albo taka mała Austrjaczka Stenuf, o którą nasz mistrz tenorów Kiepura staczał tak zacięte boje w ubiegłym roku w St. Moritz. Wystąpiła w sukience wprawdzie bardzo dobrze skrojonej, ale za to jakież kolory! Różowa sukienka i niebieski szlaczek od dołu. Trzeba było długiej chwili, zanim publiczność zapomniała o tym nieszczęsnym doborze barw i dała się porwać jej naprawdę wysokiej klasie tańca.

Ale szkoda mówić! Wszystkie przeciwniczki pobiła Sonja Henie. Ta jedna umiała tańczyć nietylko olimpijskim muzom (w tym wypadku było to grono siedmiu panów, bardzo zaawansowanych w latach), ale także dla widzów. Kostjum srebrno-liljowy, piękny uśmiech i kinienie ręki dla tysięcznych braw robiły swoje. Widownia szalała z zachwytu i trudno było naprawdę rozróżnić, czy bije jej brawa za fantastyczną wprost jazdę, czy za ten jej uśmiech i za ten bezkonkurencyjny wdzięk kobiecy. Poprostu baliśmy się, aby nie upadła, aby jakiś mały błąd nie odebrał jej tytułu mistrzyni.

Gdy zwykle publiczność wychodzi z meczu na długo przed końcem, aby prędzej docisnąć się do bram, to w tym wypadku wszyscy czekali na noty sędziów. Ale nie było powodu do obaw. Sonja zdobyła poraz trzeci mistrzostwo olimpijskie. I gdy gratulacje odbierała od swych najbliższych, w oczach pojawiły się jej dwie wielkie, podobne do brylantów lodowych, całkiem kobiece i może niegodne wielkiej mistrzyni łzy. W tej chwili napewno nie myślała o niczem innem, jak tylko o tem, że jest najbardziej podziwianą i najpopularniejszą kobietą świata. W takiej chwili trudno było z nią mówić o flircie, trudno wspominać o rzeczach tak znikomych, jak sympatja jakiegoś nawet wielkiego, ale jednego tylko bohatera. Na cóż jej uczucie jednostki, skoro ma się u swych stóp setki tysięcy ludzi całego świata.

Wielkie dni Olimpjady zimowej minęły, ale największe bodaj wrażenie pozostawił z niej wspaniały pokaz tańca trzydziestu pięknych łyżwiarek, reprezentujących trzy części świata. **Wł. Długoszewski.**

To warto poznać...



Na scenie

Rzadką i podniosłą uroczystością w **Teatrze Miejskim w Łodzi** był jubileusz długoletniej i zasłużonej artystki scen łódzkich, **Antoniny Dunajewskiej**, która święci obecnie 30-lecie pracy aktorskiej. Dunajewska, która od 15 lat bez przerwy jest członkiem zespołu teatru łódzkiego, zrosła się poprostu z tem miastem i zdobyła sobie sympatje publiczności teatru polskiego. Była w Krakowie uczenicą Gabrjeli Zapolskiej i pierwsze kroki stawiała na scenie krakowskiej za dyrekcji Józefa Kotarbińskiego. Teatrowi poświęciła się całą duszą. Ale potrafiła równocześnie pracę artystyczną połączyć z niezwykle ofiarną działalnością niepodległościową. Była żoną rewolucjonisty, Włodzimierza Dunajewskiego, znanego artysty malarza, który zginął na stokach cytadeli warszawskiej. Sama brała również bezpośredni udział w pracy konspiracyjnej, narażając swe życie w zamachu na gubernatora w Łomży, a następnie w Sosnowcu, do którego przyjechała, aby grać w teatrze, a równocześnie przewozić broń i przeprowadzać przez zieloną granicę emigrantów politycznych, którzy przy jej pomocy uciekali przed widmem szubienicy carskiej.



Antonina Dunajewska.

Dużej miary rasa aktorska i wybitne walory artystyczne sprawiają, że wszystkie role Dunajewskiej są zawsze doskonałe i znajdują szczery oddźwięk u publiczności. W dniu jubileuszu zagrała Dunajewska miłą postać generałowej w komedji Bus Fekety'ego „Trafika pani generałowej".

Teatr im. J. Słowackiego w Krakowie wystawił ostatnio, w dobrej i dowcipnej reżyserji Radulskiego, doskonałą komedję muzyczną R. Benatzky'ego **„Rozkoszna dziewczyna"** w świetnem opracowaniu poety Juljana Tuwima. Tuwim, który ma niesłychane poczucie groteski życia i groteski słowa, przepoił całą komedję tonem i atmosferą lekkiej groteski, którą trafnie odczuli zarówno reżyser, jak i dekorator H. Zwoliński i cały zespół. Wszyscy wykonawcy, członkowie zespołu dramatycznego, grali i śpiewali wesoło i dobrze: Pawlcwska, Bednarska, Filipowska, Fabisiak, Macherski, Kondrat, Staszewski, Turski, Kosmyra. Najgoręcej oklaskiwani byli Matusiakówna, którą wdzięk, swoboda, temperament i dojrzałość artystyczna, miły głos, brawurowy taniec, predestynują na primadonnę komedyj muzycznych, — Z. Modzelewski, który w roli nieporadnego Pawła dał arcydzieło dyskretnej, szczerej, nieprzeszarżowanej, sympatycznej groteski, oraz M. Węgrzyn z niezwykłą pewnością siebie, męskim wdziękiem i umiejętnością, wydobywający pointy świetnego tekstu.

W Poznaniu w Teatrze Nowym w dalszym ciągu bawi na gościnnych występach ulubieniec poznańskiej publiczności, obecnie artysta sceny krakowskiej, K. Szubert. Gra z soczystym humorem główną rolę w komedji Verneuil'a **„Egzotyczna kuzynka"**, mając za partnerów Taborską, Stanisławską i Tatarskiego.

W Warszawie w „Teatrze Letnim" wystawiono najnowszą komedję Stefana Kiedrzyńskiego **„Raz się tylko żyje"**. Zdaniem niektórych krytyków, jest to najlepsza ze sztuk Kiedrzyńskiego. Publiczności warszawskiej podoba się. Tematem jest aforyzm i idea: „Pieniądz jest wszystkiem". Sztuka grana jest dobrze przez Fertnera, Samborskiego, Świerczewską, Kamińską i Wesołowskiego.

(swb).

NOWE KSIĄŻKI.

Jedną z najpoważniejszych pozycyj bieżącego powieściopisarstwa jest **„Cudzoziemka" Marji Kuncewiczowej** (nakład „Roju"). Książka ta należy właściwie do cyklu studjów powieściowych nad psychologją kobiecą, jakich obecnie mamy sporo, żeby tylko wymienić dzieła Marji Dąbrowskiej, Szelburg-Zarębiny i Poli Gojawiczyńskiej. O „Cudzoziemce" mówi Irzykowski, że jest to „wielkie i doskonałe studjum charakterologiczne. Objawia też główne tajemnice życia rodzinnego i uwydatnia zasadniczą niesamowitość człowieka, jako człowieka".

Równocześnie nakładem „Roju" ukazał się zbiór feljetonów i artykułów Kuncewiczowej, zamieszczanych w różnych czasopismach, a zamkniętych obecnie w jeden tom, p. t. **„Dyliżans warszawski"**. Kuncewiczowa żywo odczuwa aktualność problemów społecznych i umie się nad niemi głęboko zastanawiać. Dobrze wnika w psychologję kobiet, a zwłaszcza w dusze dziecięce — i dlatego feljetony jej są bardzo interesującą i kształcącą lekturą.

Dużą i zasłużoną poczytnością cieszy się najnowszy zbiór feljetonów **Zygmunta Nowakowskiego**, wydany p. t. **„Stawiam bańki"** (nakł. Gebethnera i Wolffa). Feljetony te posiadają wszystkie walory i zalety pióra Zygmunta Nowakowskiego. Chwytają aktualność na gorąco, są bojowe, cięte, zjadliwe w satyrze, która jest najlepszą bronią, zwalczającą nonsensy. (O ile wogóle cokolwiek pomaga w walce z nonsensami).

Wzorem Nowakowskiego (gdyż jak wiadomo, „Stawiam bańki" to nie pierwszy zbiór feljetonów świetnego pisarza), idą obecnie coraz częściej polscy pisarze i wydają swe feljetony w książce. — **Pola Gojawiczyńska** zebrała swoje feljetony i impresje w tom p. t. **„Rozmowy z milczeniem"** (nakł. Gebethnera i Wolffa). Są to pełne głębokiej zadumy i najczęściej smutku impresje i refleksje na temat współczesnego życia i współczesnych przeżyć psychicznych czułego na różne zjawiska człowieka.

Ze wszystkich dzieł polskich pisarzy najpoczytniejszą jest nadal **„Trylogja" Sienkiewicza**. Zakład Narodowy im. Ossolińskich we Lwowie rozpoczął obecnie druk taniego wydania „Trylogji" Sienkiewicza, której całość w prenumeracie wynosić będzie 15 zł. Ukazały się już pierwsze tomiki, wydane starannie, a opatrzone będą objaśnieniami rzeczowemi i językowemi, oraz mapkami historycznych terenów, na których rozgrywa się akcja trzech powieści.

Wspaniała powieść **Józefa Wittlina „Sól ziemi"** ukazała się obecnie (nakł. „Roju") w drugiem wydaniu, co świadczy o jej zasłużonem powodzeniu i kulturze czytającego społeczeństwa. Mocna, antywojenna powieść, odsłaniająca z niezwykłym artyzmem tajniki duszy szarego człowieka, jest niewątpliwie jedną z najwybitniejszych pozycyj polskiej współczesnej literatury.

Równocześnie ukazało się drugie wydanie doskonałego zbioru nowel chłopskich **Wincentego Burka „Droga przez wieś"**. Zbiór nowel śląskich Poli **Gojawiczyńskiej** p. t. **„Powszedni dzień"** oraz zbiór nowel **Gustawa Morcinka „Serce za tamą"**, także ukazały się obecnie w drugiem wydaniu.

Zdzisław Kleszczyński, lubiany pisarz i feljetonista, cykl feljetonów z podróży do Hiszpanji wydał w zbiorze p. t. **„Za barjerą Pirenejów"**, a **Wanda Melcer** cykl, słynnych z licznych polemik i dużego zainteresowania, reportaży z ghetta warszawskiego, zebrała w tom **„Czarny ląd — Warszawa"**, który ukazał się nakładem „Domu książki polskiej". **(b.)**

NA NAJLEPSZEJ FALI

Niedziela, 1 marca.

9.00 Audycja poranna.
12.25 Poranek muzyczny ze Lwowa. W przerwie około godz. 13.00: Fragment słuchowiskowy „Niebieski ptak" Maeterlincka.
14.20 „Aida" Verdi'ego — I Akt.
16.25 Koncert Orkiestry Mandolinistów Związku Drukarzy.
17.00 „1000 taktów muzyki".
18.00 Recital fortepianowy Stelli Dobroszyckiej.
18.30 „Gospodarz i Parobek" słuchowisko w/g Lwa Tołstoja.
20.00 Na wesołej Lwowskiej Fali.
21.05 Koncert Straussowski z Wiednia.
22.30: Muzyka lekka i taneczna.

Poniedziałek, 2 marca.

12.25 Koncert w wykonaniu Małej Orkiestry P. R.
15.30 Muzyka lekka.
16.15 Francuska muzyka symfoniczna.
16.45 Idealny lokator — skecz.
17.20 Duety wokalne w wykonaniu Izy Roli i Berty Bragińskiej.
17.50 Pogadanka Brunona Winawera.
18.30 Piosenki Stanisława Moniuszki.
20.00 Audycja żołnierska.
20.30 Piosenki w wykonaniu Lucienne Boyer.
21.00 Z różnych stron świata — koncert w wyk. orkiestry 58 pp.
22.00 Koncert symfoniczny.

Wtorek, 3 marca.

12.35 Koncert z udziałem solistów.
15.30 Piosenki w wykonaniu revellersów.
16.15 Koncert Sekstetu Józefa Stena.
17.15 Koncert.
20.00 Wieczna ondulacja — monolog.
20.10 Walc ze snu — operetka.
21.00 Koncert Europejski z Pragi.
22.05 Muzyka taneczna.

Środa, 4 marca.

12.30 Koncert Orkiestry Tadeusza Seredyńskiego.
15.30 Muzyka salonowa.
16.00 Zagadki muzyczne — audycja dla dzieci.
16.45 Rozmowa muzyka ze słuchaczem radja.
17.20 Wyznanie miłosne.
18.00 Kwintet klarnetowy op. 115 — Brahmsa.
20.00 Muzyka lekka.
21.00 XXVI audycjaj z cyklu „Twórczość Fryderyka Chopina".
21.40 Na marginesie „Cudzoziemki" — szkic literacki.
23.05 Muzyka taneczna.

Czwartek, 5 marca.

13.00 Paweł Kochański i Artur Rubinstein.
15.30 Od piosenki do piosenki.
16.20 Muzyka lekka.
17.15 Włoskie nastroje — koncert Orkiestry Kameralnej.
18.00: Koncert szwedzkiej muzyki symfonicznej.
18.40 Jak spędzić święto.
220.00 Muzyka lekka.
21.00 „Pustkowie" — słuchowisko Rybickiego.
22.00 Koncert Twa Wydawniczego Muzyki Polskiej.
22.30: Muzyka lekka z kawiarni „Café-Club".

Piątek, 8 marca.

12.40 Koncert z udziałem solistów.
15.30 Ulubieńcy z ekranu — płyty.
16.15: Koncert w wykonaniu Orkiestry Tadeusza Seredyńskiego.
18.45 Przygoda w marcu — pogadanka dla dzieci.
17.20 Pięć kwartetów wokalnych Józefa Haydna.
18.00 Koncert Sekstetu Salonowego.
20.00 Koncert Symfoniczny.
22.45 Spacer po Europie.

Sobota, 7 marca.

12.25: Koncert Orkiestry Kameralnej.
14.30 Koncert popularny.
15.00 „Jego ślubna małżonka" — gawęda Rudyarda Kiplinga.
15.30 Duety wokalne.
16.15 O skarbie na Bakszcie — audycja dla dzieci.
18.15 Słynne walce w parafrazach wirtuozowskich.
20.00 „Nocna eskapada" — wesoła aud. muzyczna.
21.30 Wesoła Syrena.
22.00 „Na swojską nutę" — koncert.
23.05 Muzyka salonowa.

SPÓŁKA WYDAWNICZA KURJER S. A. — PRINTED IN POLAND.